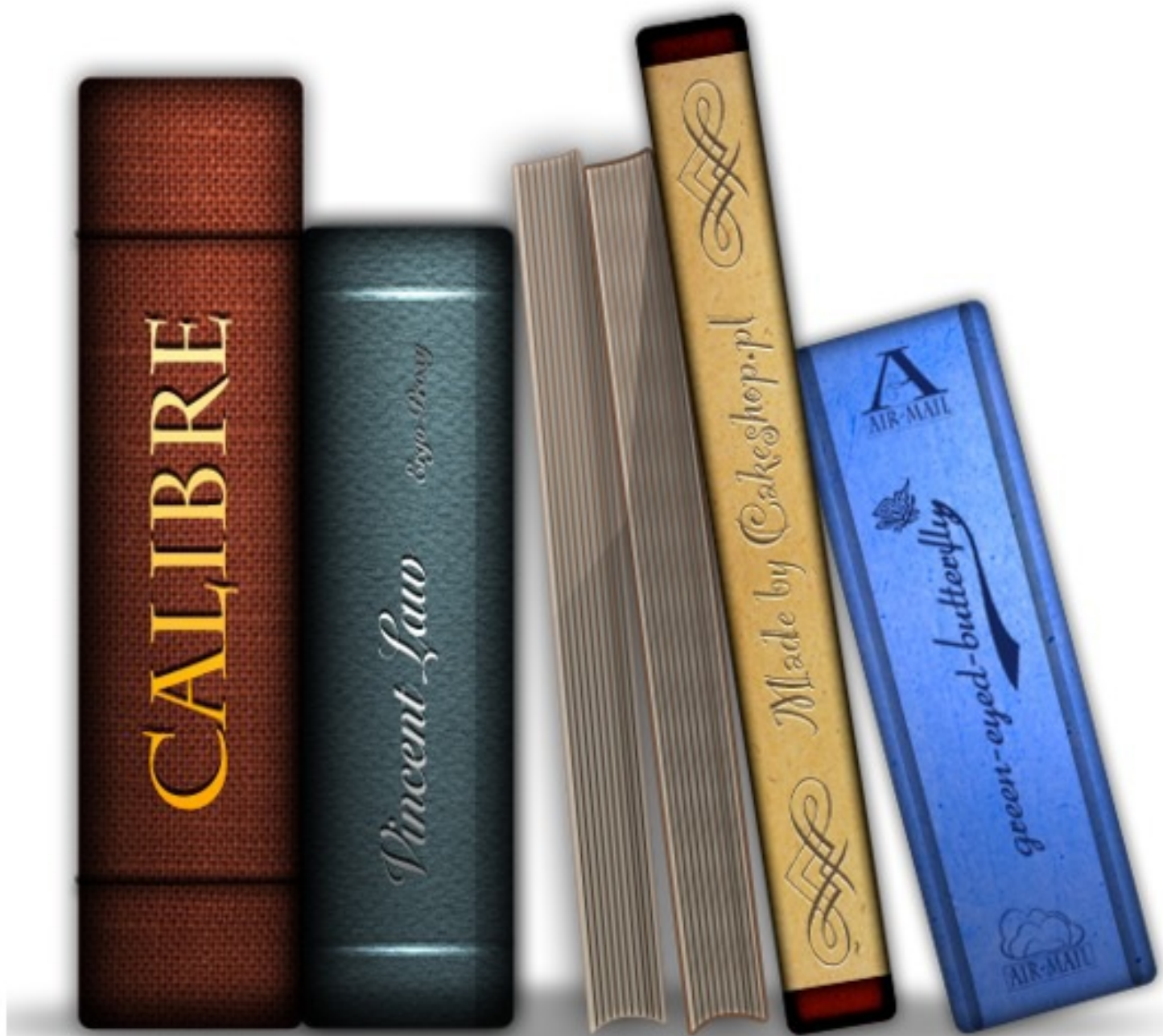


Kroniki Pradawnego Mroku III Pozeracz Dusz

MICHELLE PAVER



calibre 0.7.27

PAVER MICHELLE
Kroniki Pradawnego Mroku III
Pozeracz Dusz

Torak przechylił głowę. Co toznaczy? – spytał w wilczej mowie.

Wilk poruszył wąsami. Niedobry pysk.

o jasnym odcieniu. Twarz miała wysmarowaną popiołem z ogniska, żeby ukryć zapach. Ona też była głodna, nie miała nic w ustach od poprzedniego dnia, kiedy zjadła kawałek suszonego mięsa z dzika. Ona jednak nie zauważyła sowiego pióra. Więc lepiej jej nic nie mówić, pomyślał. Tu popełnił drugi błąd.

Kilka kroków przed nim Wilk węszył po ścieżce w miejscu, gdzie renifer rozkopał śnieg, żeby dostać się do porostów. Uszy miał postawione, a srebrne futro zjeżone z podniecenia. Nawet jeżeli wyczuł niepewność Toraka, niczego nie okazywał. Jeszcze raz wciągnął powietrze, po czym uniósł pysk, żeby złapać trop w wypełnionym zapachami lekkim wietrze; jego bursztynowe oczy prześliznęły się po twarzy Toraka. Niedobrze pachnie.

Torak podszedł, żeby zbadać, co Wilk znalazł, i dostrzegł na gołej ziemi maleńką plamkę żółtej ropy. Wilk mówił mu, że renifer jest stary, a zęby ma spróchniałe i zepsute po wielu zimach przeżuwania twardych porostów.

Torak zmarszczył nos w krótkim, wilczym uśmiechu. Dziękuję wilczy bracie. Teraz spojrzaj na Renn i zszedł w dół zboczem wzgórza tak cicho, jak pozwalały na to wysokie buty z bobrzej skóry.

Nie dość jednak cicho dla Wilka, który oskarżycielsko postawił ucho, sam unosząc się nad powierzchnią śniegu bezgłośnie jak siwy dym.

Razem poczołgali się między śpiącymi drzewami. Czarne dęby i srebrzyste brzozy lśniły od szronu. Tu i ówdzie Torak widział karmazynowy rozbłysk czerwonych jagód ostrokrzewu, głęboką zieleń nigdy niezasypiających świerków, stojących na straży uśpionych braci. Las spał. Rzeki skuł lód. Większość ptaków odleciała na południe.

Oprócz tej sowy, pomyślał Torak.

Kiedy zobaczył na wierzchu pióra ten meszek, który wycisza odgłos lotu, gdy ptak poluje, od razu wiedział, że to pióro sowy. Gdyby to była mroczna szarość leśnej sowy, nie martwiłby się, dałby po prostu pióro Renn, która używała ich do robienia strzał. To pióro było jednak naznaczone czernią i rudością, cieniem i płomieniem. Kolory mówiły Torakowi, że należało do największej i najbardziej zacieklej ze wszystkich sów – do puchacza. Znaleźć takie pióro to zły znak!

Czarny nos Wilka marszczył się i poruszał nerwowo.

Torak natychmiast wrócił do rzeczywistości.

Przez drzewa zobaczył sylwetkę renifera obgryzającego mech z pnia. Usłyszał zgrzyt jego kopyt, zobaczył mgiełkę oddechu. Dobrze, wciąż są jeszcze pod wiatr.

Zapomniał o piórze, myślał teraz o soczystym mięsie i sycącym szpiku.

Za sobą usłyszał delikatny dźwięk napinanej przez Renn cięciwy. Sam też założył strzałę na swój łuk i wtedy zdał sobie sprawę, że stoi jej na drodze, ukląkł więc na jedno kolano – ona strzela lepiej od niego.

Renifer schował się za brzozą. Będą musieli poczekać.

Czekając, Torak zauważył jodłę pięć kroków od siebie. Rozpościerała obciążone śniegiem ramiona w taki sposób... jakby go chciała ostrzec.

Ściskając w dłoni łuk, utkwiał wzrok w zwierzęciu.

Powiew wiatru wprawił w lekkie drżenie gałązki brzoź i ostatnie liście lata zaszeleściły jak wysuszone martwe dłonie.

Przełknął ślinę. Czuł, że Las chce mu coś powiedzieć.

Tuż nad jego głową poruszyła się gałąź i na ziemię spadła odrobina śnieżnego puchu. Torak spojrział w górę. Serce podeszło mu do gardła. Puchacz. Spiczaste uszy z kępką włosków na końcach, ostre jak grot dzidy. Olbrzymie, pomarańczowe oczy niczym dwa słońca.

Torak z krzykiem stanął na równe nogi.

Renifer pomknął przed siebie.

Wilk rzucił się w pościg.

Strzała Renn przeleciała tuż obok kaptura Toraka. Puchacz rozpostarł olbrzymie skrzydła i w ciszy, nie wydając żadnego dźwięku, odleciał.

–Co ty robisz?! – krzyknęła wściekła Renn. – Tak sobie wstajesz, jak gdyby nigdy nic?! Mogłam cię zabić!

Torak nie odpowiedział. Przyglądał się sowie, wzbijającej się w niebo i krążącej w przestworzach nieulętkłego błękitu południa. Przecież puchacze polują nocą, pomyślał.

Wilk wybiegł spomiędzy drzew i zatrzymał się z poślizgiem tuż obok Toraka, otrząsnął się ze śniegu i wymachiwał ogonem. Nie spodziewał się, że złapie renifera, ale podobała mu się pogoń. Wyczuwając niepewność Toraka, ocierał się o jego nogi. Torak ukląkł i zanurzył twarz w gęstej, szorstkiej sierści, wdychając jej dobrze znany zapach, przypominający słodką trawę.

–Coś nie tak? – spytała Renn. Torak uniósł głowę.

–Oczywiście, ta sowa.

–Jaka sowa? Zamrugał powiekami.

–Przecież musiałaś ją widzieć. Puchacz, był tak blisko, że mogłem go dotknąć.

Renn wciąż miała taką minę, jakby nie rozumiała, o co chodzi, Torak pobiegł więc w stronę wzgórza i znalazł na zboczu pióro.

–Proszę – powiedział zdyszany, wyciągając ku niej pióro. Wilk położył uszy po sobie i zawarczał gardłowo. Renn dotknęła pióra stworzenia, które opiekowało się jej klanem.

–Co to oznacza? – spytał Torak.

–Nie wiem, ale to niedobrze. Powinniśmy wracać. Fin-Kedinn będzie wiedział, co to znaczy. Posłuchaj, Torak – spojrzęła z ukosa na pióro – zostaw je tutaj.

Rzucając pióro w śnieg, pożałował, że podniósł je nieosłoniętą dłonią. Na jej wewnętrznej stronie został delikatny, szary pył; otarł ją o kurtkę, ale na skórze wciąż wyczuwał delikatny zapach zgnilizny, który przypominał mu miejsce, gdzie złożono kości członków klanu Kruka.

Wilk nagle warknął i postawił uszy.

–Co on poczuł? – spytała Renn. Nie mówiła wilczym językiem, ale dobrze znała Wilka.

Torak zmarszczył brwi.

–Nie wiem. Wilk wciąż trzymał wysoko ogon, ale nie dawał żadnych zrozumiałych

sygnałów na

temat zdobyczy.

Dziwny łup, powiedział, a Torak zrozumiał, że Wilk też jest zdziwiony. Ogarnęło go dojmujące poczucie zagrożenia, więc szczeknął ostrzegawczo:

–Hau! Trzymaj się od tego z daleka! Ale Wilk już biegł. Ścigał się z własnym cieniem, bez najmniejszego wysiłku sadząc susami po śniegu.

–Nie! – krzyknął Torak, puszczając się za nim biegiem.

–Co się stało? – zawołała Renn. – Co on powiedział?

–„Dziwny łup” – odparł Torak. Z coraz większym niepokojem patrzył, jak Wilk biegnie wzdłuż górskiej grani, ogląda

się za siebie i patrzy na nich. Widok był wspaniały – gruba, zimowa sierść w nasyconych szarościach i czerniach, lisich rudościach, puszysty ogon, zadarty w łowieckim zapale. Za mną, wilczy bracie! Dziwny łup! I już go nie było.

Biegli za nim co tchu, ale ciążyły im plecaki i śpiwory, a śnieg był głęboki, w końcu musieli więc założyć wiklinowe rakiety śnieżne, co jeszcze bardziej ich opóźniło. Kiedy dotarli na szczyt, Wilka nie było już widać.

–Zaczeka nanas – powiedziała Renn, próbując pocieszyć Toraka. Wskazała dłonią kępę osiki. – Jak tylko tam dojdziemy, zobaczysz, że wyskoczy.

Słyszając te słowa, Torak poczuł się trochę lepiej. Zaledwie wczoraj Wilk ukrył się za krzakiem jałowca, następnie wyskoczył i pchnął go w zaspę, warcząc i delikatnie gryząc, a Torak leżał, bezsilny ze śmiechu.

Dotarli do osiki. Wilk nie wyskoczył.

Torak szczeknął krótko dwa razy. Gdzie jesteś?

Żadnej odpowiedzi.

Pocieszające było to, że Wilk zostawił dobrze widoczne ślady. Polowało tu kilka klanów i wszystkie z psami, ale trudno było wziąć ślady psa za trop wilka. Pies biegnie bez celu, bo wie, że pan i tak go nakarmi, a wilk wie, że albo znajdzie zdobycz, albo będzie głodował. Chociaż Wilk wędrował z klanem Toraka i Renn przez ostatnie siedem księżyców, Torak nigdy nie dawał mu jedzenia, bo się bał, że to stępi jego instynkt i osłabi umiejętności łowieckie.

Było coraz później, a oni wciąż szli jego śladem. Trop biegł w linii prostej, a tylne łapy dotykały śniegu tam, gdzie przed chwilą dotknęły ich przednie. Skrzypienie śniegu pod wiklinowymi raketami i szmer ich oddechów odbijały się echem w Lesie.

–Zapusciliśmy się sporo na północ – powiedziała Renn. Znajdowali się mniej więcej o jeden dzień marszu od obozu Kruka, który leżał na południowy zachód, nad Szeroką Wodą.

Torak znów szczeknął pytająco. Gdzie jesteś?

Z drzewa delikatnie opadał puch śnieżny i osiadał na jego kapturze, po czym cisza wydawała się głębsza niż przedtem.

Widząc, jak blask dogasa na jagodach ostrokrzewu, Torak zrozumiał, że dzień zmierza ku zachodowi. Już teraz jasność bladła na niebie, cienie wypełzały spod drzew. Poczuł chłód w sercu, bo wiedział, że zaczyna się zejście ku ciemności.

Klany nazywały to czasem demonów, bo właśnie zimą wielki Tur wierzga wysoko między gwiazdami i wtedy demony uciekają z Tamtego Świata i przemykają się przez Las, powodując zamieszanie i nieszczęścia. Wystarczy, żeby jeden nawiedził dolinę, a już robi się źle. Chociaż Szamani są czujni, wszystkich nie potrafią wyłapać. Demony trudno dostrzec. Nigdy nie widzi się całego, czasami kątem oka jakiś przeblysł, trudno powiedzieć, jak wyglądają, bo wciąż się zmieniają, wślizgują się śpiącym do ust i pętają swoją mocą żywe

ciała. Czają się w czerwonej ciemności, wysysając odwagę i zaufanie, siejąc złośliwość i wrogość.

Torak już wiedział, że właśnie w czasie panowania demonów spełniają się złe przepowiednie. Wilk nie zawył w odpowiedzi, bo nie mógł. Bo coś mu się stało.

Przez umysł Toraka przemykały wizje jak z sennych koszmarów. A jeśli Wilk próbował zaatakować tura albo łosia? Miał dopiero dwadzieścia księżyców. Cios kopyta może zabić lekkomyślnego młodego wilka.

Może złapał się we wnyki? Torak uczył go, jak ich unikać, ale jeżeli był nieuważny? Znajdzie się w pułapce. Nie może zawyc, bo pętla dławi go za gardło.

Drzewa skrzypiały. Z gałęzi znów spadło trochę świeżego śniegu. Torak przyłożył dłonie do ust i zawył: Gdzie... jesteś?

Żadnej odpowiedzi.

Renn uśmiechnęła się do niego, ale też była zmartwiona. W jej ciemnych oczach zobaczył swój własny niepokój.

–Słońce już zachodzi – powiedziała. Torak przełknął ślinę.

–Za chwilę wszędzie księżyc. Będzie dość jasno, by iść tropem.

Pokręciła z powątpiewaniem głową. Przeszli jeszcze kilka kroków, kiedy Renn odwróciła się, patrząc w bok.

–Torak! Tutaj!

Ten, kto złapał Wilka, posłużył się najprostszą z pułapek. Wykopał dziurę i przykrył ją cienką warstwą gałęzi przysypanych śniegiem. Wilk prędko by się stamtąd wydostał, ale w stłamszonym śniegu wokół dziury Torak znalazł strzępy powiązanej w węzłki surowej skóry.

–Sieć – powiedział z niedowierzaniem. – Mieli sieć.

–W dziurze nie ma żadnych zaostrzonych pali – zauważyła Renn. – Pewnie chcieli wziąć go żywcem.

To jest jakiś zły sen, pomyślał Torak. Obudzę się, a Wilk przybiegnie, klucząc między drzewami.

Wtedy właśnie zobaczył krew. Okropny, czerwony rozprysk na śniegu.

–Może ich ugryzł – mruknęła Renn. – Oby tak było. Mam nadzieję, że porządnie pogryzł ich po rękach!

Torak podniósł grudkę zakrwawionego śniegu. Palce mu drżały. Zmusił się, żeby odczytać pozostawiony ślad.

Wilk zbliżał się do otworu niepewnie, biegł truchtem, później szedł, pozostawiony przez niego trop zmieniał się, i widać było ślady przednich i tylnych łap jedne obok drugich. Ale mimo wszystko podchodził do dziury.

–Wilku – powiedział Torak bezgłośnie. – Czemu nie byłeś ostrożniejszy? Wtedy uderzyła go myśl, że może to właśnie jego przyjaźń z Wilkiem sprawiła, że ten bardziej zawierzył ludziom. Może to jego wina. Patrzył na zdeptany ślad, prowadzący na północ. W odciskach łap na śniegu zaczął się tworzyć lód. Ci, którzy pojмали Wilka, mieli już nad nimi przewagę.

–Ile jest śladów? – spytała Renn, nie podchodząc bliżej, bo Torak znacznie lepiej je odczytywał.

–Dwa. Odciski stóp większego człowieka są głębsze tam, gdzie biegł.

–Więc niósł Wilka. Ale po co w ogóle go zabierać? Nikt nie skrzywdziłby Wilka.

Nikt by nie śmiał.

Tak mówiło niezmiennie prawo klanowe: nie wolno krzywdzić żadnego z łowców w Lesie.

–Torak – zawołała Renn, kucając za jałowcem. – Tutaj się ukryli. Ale nie potrafię rozróżnić...

–Nie ruszaj się! – zawołał ostrzegawczo Torak.

–Co takiego?

–Tutaj, tuż przy twoim bucie! Zamarła.

–Co... Czyj to ślad? Kucnął, żeby się mu przyjrzeć. Ojciec uczył go odczytywania tropów i Torak był przekonany, że zna ślady każdego

stworzenia w Lesie, ale te były przedziwne, takich jeszcze nie widział. Bardzo lekkie i małe, jakby ślady ptaka, ale to nie był ptak. Tylne odciski przypominały małe, zakrzywione dłonie o pięciu szponach, ale nie było śladów z przodu, tylko dwa otworki, jakby stworzenie maszerowało na szczudłach.

–„Dziwny łup” – mruknął Torak pod nosem. Renn spojrzała mu w oczy.

–Przynęta. To była przynęta. Torak wstał.

–Poszli na północ, w kierunku doliny Rękojeści Topora. Dokąd mogliby się stamtąd udać?

Wyrzuciła w górę ramiona.

–Wszędzie! Mogli skręcić na wschód, w kierunku jeziora Ostrza Topora i powędrować aż do Wysokich Gór. Albo zawrócić wprost na południe, w kierunku Puszczy. Albo na zachód, mogą być już w połowie drogi do Morza.

Głosy, idące w ich kierunku.

Przycupnęli za jarzębiną.

Renn przygotowała łuk, a Torak wyciągnął zza pasa czarny bazaltowy toporek.

Ktokolwiek to był, nie próbował ukryć swojej obecności. Torak zobaczył mężczyznę i kobietę, a za nimi dużego psa ciągnącego sanie, na których kołysał się martwy jelonek. Chłopczyk w wieku około ośmiu wiosen szedł spory kawałek przed dorosłymi, a tuż przy nim młodszy pies z jukami ze skóry jelenia podwiązanymi pod brzuchem.

Młody pies wyczuł na Toraku zapach Wilka, zaszczekał przerażony i pędem pobiegł do chłopca, który zatrzymał się jak wryty. Torak zauważył między jego brwiami tatuaż klanowy – trzy wąskie czarne owale, przypominające wrysowane na stałe zmarszczki.

Renn odetchnęła z ulgą.

–Klan Wierzby! Może coś widzieli?

–Nie! – Pociągnął ją do tyłu. – Nie wiemy, czy można im ufać! Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

–Torak, to są Wierzby! Oczywiście, że możemy im ufać. Zanim zdołał ją powstrzymać, już biegła w kierunku dorosłych, na znak przyjaźni przyciskając do serca zaciśnięte pięści.

Zauważyli ją i wszyscy się uśmiechnęli. Kobieta wyjaśniła, że wracają do swojego klanu na zachodzie. Twarz miała poznaczoną bliznami, jej skóra wyglądała jak narośl na pniu brzozy. Od razu było widać, że jest jedną z ocalałych z choroby szalejącej zeszłego lata.

–Spotkaliście kogoś po drodze? – spytała Renn. – Szukamy...

–„My”? – spytał mężczyzna. Torak wstał.

–Przychodźcie z północy. Widzieliście kogoś? Mężczyzna przesunął wzrokiem po tatuażach klanowych Toraka i uniósł ze zdziwieniem brwi.

–W dzisiejszych czasach nie spotyka się wielu wojowników z klanu Wilka. – powiedział i zwrócił się do Renn: – Jesteś za młoda, żeby polować tak daleko od swojego obozu.

Renn uśmiechnęła się.

–Mamy oboje po trzynaście wiosen. Dostaliśmy pozwolenie od wodza klanu.

–Widzieliście kogoś? – wtrącił się Torak.

–Ja widziałem – powiedział chłopiec.

–Kogo? – zawołał Torak. – Kto to był? Chłopiec cofnął się o krok, zaskoczony gwałtownością pytania.

–Ja... Ja poszedłem poszukać Snappera – wskazał psa, który leniwie machnął ogonem. – Lubi biegać za wiewiórkami, ale często się gubi. Wtedy ich zobaczyłem. Mieli sieć, a w sieci coś się miało.

Więc wciąż żyje, pomyślał Torak. Zaciskał pięści tak mocno, że paznokcie wbijały mu się w skórę.

–Jak wyglądali? – spytała Renn. Chłopiec wyciągnął ramię wysoko nad głowę.

–Potężny mężczyzna. I drugi, też duży, z krzywymi nogami.

–Jakie mieli tatuaże klanowe? – spytał Torak. – Jakież skóry ze znakami klanowymi? Cokolwiek?

Chłopiec głośno przełknął ślinę.

–Naciągnęli kaptury na oczy i nie widziałem ich twarzy. Torak zwrócił się teraz do mężczyzny z klanu Wierzby.

–Możesz przekazać wiadomość Fin-Kedinnowi?

–Cokolwiek to jest – powiedział mężczyzna – powinieneś sam mu to powiedzieć. Wódz Kruków jest mądry i będzie wiedział, co robić.

–Nie ma na to czasu – powiedział Torak. – Powiedz mu, że ktoś zabrał Wilka. Powiedz też, że chcemy go odebrać.

Noc przyniosła siarczysty mróz, który pobieliał drzewa, a śnieg skuł białą, grubą skorupą, która chrzęściła pod nogami. Było już po północy i Torakowi kręciło się w

głowie ze zmęczenia. Zmuszał się do marszu. Trop tych, którzy pojмали Wilka, kładł się węzową linią na śniegu w świetle księżyca. Na północ, cały czas na północ.

Nagle niemal stanęło mu serce, bo wyłoniło się przed nim siedmiu Czarowników. Smukłe, powyginane kształty stanęły mu na drodze. My będziemy rządzić w Lesie, szeptali głosami zimniejszymi niż unoszony wiatrem śnieg. Drzyjcie przed nami. My jesteśmy Pożeraczami Dusz...

Czyjaś ręka dotknęła jego ramienia. Torak krzyknął.

–Co się stało? – spytała Renn. Zamrugął oczami. Siedem brzóz migotało przed nim od szronu.

–To był sen.

–O czym? – Renn wiedziała coś o snach, bo czasem jej sny okazywały się rzeczywistością.

–O niczym – powiedział Torak. Prychnęła z niedowierzaniem. Parli naprzód, ich oddechy jak gęsty dym wypełniały zmrożone powietrze. Torak zastanawiał się, czy jego sen coś znaczy. Czy to możliwe, że Pożeracze Dusz

mają związek ze zniknięciem Wilka? Ale czegoż mogą chcieć od Wilka?

Poza tym nie znaleziono po nich żadnego śladu. Od czasów zarazy zeszłego lata Fin-Kedinn rozmawiał ze wszystkimi klanami w Otwartym Lesie i wysłał wiadomości do Puszczy oraz do klanów znad Morza i z Gór. I nic. Pożeracze Dusz znikli nie wiadomo gdzie, zaszyli się jak niedźwiedzie zimą.

A Wilka wciąż nie było.

Torak czuł się, jakby wszedł w sam środek wichury niewiedzy i lęku. Podniósł głowę i zobaczył wysoko na niebie olbrzymiego Tura. Czuł złośliwe spojrzenie chłodnego, czerwonego oka i walczył ze wzbierającą falą paniki. Najpierw stracił ojca. Teraz Wilka. Co będzie, jeżeli nigdy więcej go nie zobaczy? Jeżeli Wilk już nie żyje?

Las był coraz rzadszy. Przed nimi błyszcząca zamarznęta rzeka pokryta zygzakami zajęczych tropów. Na jej brzegach szkielety szaleju wyciągały szpiczaste palce w kierunku gwiazd. Stado leśnych koników zawróciło lękliwie i postukując kopytami, przebiegło po lodzie, po chwili konie zatrzymały się, żeby się przyjrzeć ludziom. Grzywy miały sztywne od lodu, a w ich rozjaśnionych światłem księżyca oczach Torak ujrzał odbicie własnego strachu.

Oczami wyobraźni zobaczył Wilka takiego, jak wyglądał, zanim zniknął - wspaniałego i dumnego. Torak znał go, od kiedy Wilk był szczeniakiem. Przez większość czasu był po prostu Wilkiem – bystrym, ciekawskim i niezmiennie lojalnym. Czasami jednak to on prowadził Toraka, a jego bursztynowe oczy połyskiwały tajemniczą pewnością. Zawsze był jego wilczym bratem.

–Czegoś nie rozumiem – powiedziała Renn, przerywając tok jego myśli. – Dlaczego w ogóle zabrali Wilka?

–Może to pułapka. Może chodzi im o mnie, a nie o Wilka?

–O tym też myślałam – ściszyła głos. – Może ten, kto porwał Wilka, nastaje na ciebie, bo... – zawahała się. – Bo chodzisz z duchami, a oni chcą odebrać ci moc.

Otrząsnął się. Nienawidził chodzić z duchami. Nie mógł też znieść, że powiedziała to głośno. Czuł się tak, jakby mu ktoś oderwał strup ze świeżej rany.

–Jeżeli rzeczywiście o to im chodzi – mówiła uparcie dalej – dlaczego po prostu nie porwali ciebie? To dwaj wielcy, silni mężczyźni, nie dałbyś im rady. Dlaczego więc...?

–Nie wiem – niecierpliwie odparł Torak. – Mogłabyś już przestać? Co nam z tego przyjdzie?

Renn wpatrywała się w niego w milczeniu.

–Nie wiem, dlaczego go zabrali! – krzyknął. – Nic mnie nie obchodzi, że to pułapka. Ja chcę tylko go odzyskać!

Później w ogóle już nie rozmawiali. Leśne koniki zdeptały wszystkie ślady i przez chwilę wydawało im się, że zgubili trop. Postanowili więc się rozdzielić. Kiedy Torak odnalazł ślady, okazało się, że się zmieniły. Na gorsze.

–Zrobili sanie – powiedział. – Nie mają psów pociągowych, ale nawet bez psów będą szybciej zjeżdżać po zboczach.

Renn spojrzała na niego.

–Chmurzy się. Powinniśmy zbudować jakiś szałas. Trochę odpocząć.

–Możesz, jeżeli chcesz. Ja idę dalej. Ujęła się pod boki.

–Sam?

–Jeśli będę musiał.

–Toraku, on jest też moim przyjacielem.

–On nie jest moim przyjacielem – odparł. – Jest moim wilczym bratem. Od razu zobaczył, że ją to zabolalo.

–Więc chcesz mu pomóc – powiedziała przez zaciśnięte zęby – robiąc głupie błędy i nie zauważając pewnych rzeczy?

Popatrzył na nią niechętnie.

–Nie zrobiłem żadnego głupiego błędu.

–Nie? Kilka kroków wcześniej jeden z nich zбочzył, żeby pójść za tropem wydry.

–Za jakim tropem wydry?

–Właśnie to miałam na myśli! Jesteś wyczerpany. I ja też! Wiedział, że ona ma rację. Ale nie chciał tego przyznać. W milczeniu znaleźli zwaloną przez burzę sosnę i wykopali w śniegu jamę u jej

podnóża, przygotowując sobie prowizoryczne miejsce do spania. Przykryli je sosnowymi gałęziami i raketami śnieżnymi nagarnęli grubą warstwę śniegu. Wreszcie przywlekli jeszcze kilka gałęzi do środka i ułożyli na nich śpiwory ze skóry renifera. Kiedy skończyli, oboje drżeli ze zmęczenia.

Torak wyciągnął z woreczka na szyi krzesiwo, garść pokruszonej kory brzozonej i rozniecił ogień. Znalazł tylko suche gałęzie sosnowe, ognisko dymiło więc i pluło iskrami. Był zbyt zmęczony, żeby się tym przejmować.

Renn kręciła nosem na dym, ale nic nie powiedziała. Wyjęła z plecaka pęto kiełbasy z łosia i przecięła je na trzy części. Jedną część położyła na dachu prowizorycznego szałasu, dla opiekuna klanu, a drugą rzuciła Torakowi. Włożywszy swoją część do własnego woreczka z jedzeniem, wzięła toporek i skórzany bukłak na wodę.

–Idę nad rzekę. W moim plecaku jest jeszcze trochę mięsa, ale nie ruszaj

suszonych borówek.

–Dlaczego?

–Bo nie – powiedziała obrażona. – Chowam je dla Wilka. Po jej odejściu Torak zmusił się do jedzenia. Później wyczołgał się spod gałęzi i złożył ofiarę. Odciął kosmyk swoich długich, czarnych włosów i obwiązał nim gałąź powalonej sosny. Następnie położył rękę na skórze opiekuna klanu – wytartym kawałku wilczego futra przyszytym do rękawa kurtki.

–Lesie – powiedział. – Usłysz mnie. Proszę każdą ze swoich trzech dusz: duszę mojego imienia, duszę mojego klanu i duszę świata. Proszę, opiekujcie się Wilkiem i nie pozwólcie, żeby go skrzywdzono.

Dopiero teraz zauważył kosmyk rudych włosów, przywiązany do innej gałęzi. Renn już złożyła własną ofiarę.

Poczuł się winny. Nie powinien był na nią krzyczeć.

Wrócił pod gałęzie, ściągnął buty, wczołgał się do ściwióra i leżał, patrząc w ogień i wdychając wilgotny zapach reniferowego futra i gorzki aromat sosny.

Gdzieś daleko zahukała sowa. Nie było to dobrze znane „huu! huu!” szarej sowy leśnej, ale głębokie „pu-huu-puhuu” puchacza.

Torak zadrżał.

Usłyszał, jak buty Renn miażdżą zmarznięty śnieg, i krzyknął do niej:

–Złożyłaś ofiarę! Ja też. – Kiedy nie odpowiedziała, dodał: – Przepraszam, że na ciebie wrzasnąłem. To tylko... No wiesz, przepraszam.

Wciąż żadnej odpowiedzi. Usłyszał, jak idzie w kierunku ich prowizorycznego domostwa, a następnie okrąża je i zachodzi od tyłu. Usiadł.

–Renn? Kroki umilkły.

Czuł, że serce wali mu jak młotem. To nie była Renn. Jak najciszej wydostał się ze ściwióra, włożył buty i sięgnął po toporek. Kroki były coraz bliżej. Ten, kto był z drugiej strony, stał w odległości ramienia od niego, a dzieliła ich tylko cienka warstwa sosnowych gałęzi. Przez chwilę panowała cisza. I wtedy – a zabrzmiało to w tej ciszy bardzo głośno – Torak usłyszał wilgotny, bulgoczący oddech.

Dostał gęsiej skórki. Przypomniały mu się ofiary panującej latem zarazy. Mordercze światło w oczach i flegma dławiąca w gardle...

Pomyślał, że Renn jest sama nad rzeką. Podczołgał się ku wyjściu. Chmury przykrywały księżyc, noc była ciemna choć oko wykol. Poczuł zapach gnijącego mięsa. Znów usłyszał charkotliwy oddech.

–Kim jesteś? – zawołał w ciemność. Oddech ustał. Zapanowała absolutna cisza. Cisza czegoś czekającego w ciemności.

Torak wygrzebał się spod gałęzi i stał teraz, ściskając toporek w obu dłoniach. Dym gryzł go w oczy, ale przez ułamek sekundy mignęła mu olbrzymia postać wtapiająca się w cienie nocy. Za nim rozległ się krzyk – odwrócił się gwałtownie i zobaczył Renn przedzierającą się między drzewami.

–Nad rzeką! – krzyknęła. – Śmierdziało, to było straszne!

–To było tutaj – powiedział. – Podeszło blisko. Słyszałem. Stojąc do siebie

plecami, wpatrywali się w Las. Cokolwiek to było już sobie poszło, zostawiając tylko zapach zgniłego mięsa i straszliwe wspomnienie charkotliwego oddechu.

Spać już nie mogli. Dorzucali suchego drewna do ognia i siedzieli razem przy ognisku, czekając na świt.

–Jak myślisz, co to było? – spytała Renn. Torak pokręcił głową.

–Wiem jedno. Gdybyśmy mieli ze sobą Wilka, nigdy by nie podeszło tak blisko. Wpatrywali się w ogień. Gdy zabrakło Wilka, stracili nie tylko przyjaciela. Stracili kogoś, kto nie pozwalał ich skrzywdzić.

Tej nocy nic już więcej nie słyszeli, ale rano znaleźli ślady. Duże jak ślady człowieka, ale bez odcisniętych palców u nóg. Ślady były niepodobne do odcisków obutych stóp ludzi, którzy złapali Wilka, ale zmierzały w tę samą stronę.

–Teraz jest ich trzech – powiedziała Renn.

Torak się nie odezwał. Nie mieli wyboru, musieli podążać za tropem. Niebo było ciężkie od śniegu, a Las pełen cieni. Z każdym krokiem z coraz większą niechęcią i lękiem myśleli o tym, że zobaczą postać, która w nocy była tak blisko. Czy to demon? Czy Pożeracz Dusz? Czy jeden z Ukrytych Ludzi, których plecy są puste jak przegniłe pnie drzew?

Wzmógł się wiatr. Torak patrzył, jak śnieg zawiewa ślady, i myślał o Wilku.

–Jeżeli wiatr nie ustanie, to za chwilę nie będzie widać tropów. Renn wyciągnęła szycję, śledząc lot kruka.

–Szkoda, że nie widzimy tego, co on może zobaczyć. Torak spojrzał na ptaka i przez głowę przemknęła mu pewna myśl. Zaczęli schodzić przez milczący brzozowy las w kolejną dolinę.

–Patrz – powiedział Torak. – Twoja wydra była tu przed nami. Palcem wskazał siatkę tropów na śniegu i długi, gładki rowek. Wydra biegła po zboczu, a dalej pojechała na brzuchu, bo wydry uwielbiają taką jazdę. Renn uśmiechnęła się i przez chwilę wyobrazili sobie szczęśliwą wydrę, zjeżdżającą po świeżym śniegu.

Wydra nie dotarła jednak do zamrożonego jeziora u stóp wzgórza. Pod wielkim kamieniem dwadzieścia kroków powyżej brzegu Torak znalazł rozrzucone rybie łuski i strzęp surowej skóry.

–Złapali ją – powiedział.

–Dlaczego? – spytała Renn. – Wydra jest przecież łowcą...

Torak pokręcił głową. To nie miało sensu. Nagle Renn zamarła.

–Kryj się! – szepnęła, wciągając go za głaz.

Za drzew Torak zobaczył na jeziorze ruch. Jakieś stworzenie węszące, kołyszące się, szukające czegoś. Było bardzo wysokie, miało zmierzwiony włos i długą skołtunioną grzywę. Torak poczuł zapach zgniłego mięsa i usłyszał mokry, gulgoczący oddech. Stworzenie odwróciło się i wtedy dojrzał jednooką szorstką jak kora drzewa twarz.

Wstrzymał oddech.

–To niemożliwe! – szepnęła Renn.

Spoglądali na siebie. Wędrowiec! Spotkali tego przerażającego, szalonego starca dwie jesienie temu. Mieli wtedy szczęście, że uszli z życiem.

–Co on robi tak daleko od swojej doliny? – szepnął Torak, kiedy oboje jeszcze niżej przycupnęli za olbrzymim głazem.

–Prześlizgniemy się tak, żeby nas nie zauważył? – spytała szeptem Renn.

–Może tak, a może nie.

–Co takiego?

–Niewykluczone, że widział tych, którzy porwali Wilka!

–Zapomniałeś – powiedziała wściekłym szeptem – że mało co nas nie zabił?

Później wrzucił mój kołczan do strumienia i zagroził, że złamie mi łuk!

Torak nie był do końca pewien, co Renn uznała za gorsze – zagrożenie życia czy złamanie łuku.

–Ale nie zrobił tego, prawda? – zaproponował. – Puścił nas. Jeszcze jedno, Renn.

Może on rzeczywiście coś widział?

–Więc po prostu pójdziesz i go spytasz, tak? Torak, on jest szalony! Nie można mu wierzyć, nieważne, co ci powie!

Torak już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, gdy śnieg eksplodował tuż przy nich.

–Oddawać! – ryczał Wędrowiec, wymachując nożem z zielonego łupku. – Zabrała mu ogień! Oszukała go! Wędrowiec chce go z powrotem!

–Wędrowiec oszukał oszustów! – ryczał, przygważdżając ich do głazu. – Teraz oni muszą mu go oddać!

Jego skołtunione włosy wyglądały jak mech, chude ręce i nogi były pokrzywione jak korzenie drzewa. Zielony śluz jak bluszcz zwiisał mu z rozbitego nosa i przegniłych, bezzębnych ust. Zostawił kaftan na lodzie, żeby ich zwieść, i teraz miał na biodrach tylko

przepaskę ze zwierzęcej skóry, sztywną od brudu, a na stopach łapcie z pokrytej grzybem kory; na plecy zarzucił śmierdzącą skórę płowego jelenia, którą po zderciu z ciała zwierzęcia chyba zapomniał oczyścić. Ogon, nogi i kopyta chybotwały się dziko, kiedy machał im nożem przed oczami.

–Ona to zabrała! – krzyczał, opluwając ich kropelkami zielonej śliny. – Ona go oszukała!

–Ja... Ja nic nie zabierałam – jąkała się Renn, chowając łuk za plecami.

–Nie pamiętasz nas? – spytał Torak. – Nigdy niczego nie ukradliśmy.

–Nie ona! – warknął Wędrowiec. – Ona! – Szybka jak węgorz, lepka od brudu ręka wystrzeliła do przodu i chwyciła Toraka za włosy. Chłopak miał teraz głowę odchyloną brutalnie do tyłu, a jego broń leżała na śniegu. – Ta boczna – dyszał Wędrowiec, owiewając go smrodem, który wyciskał łzy z oczu. – To jej wina, że Narik zaginął!

–Ale myśmy nic złego nie zrobili! – zawołała błagalnie Renn. – Puść go.

–Toporek. – Wędrowiec splunął, kierując na nią jedyne przekrwione oko. – Nóż! Strzały! Łuk! Na śnieg, szybko, szybko, szybko!

Renn usłuchała. Wędrowiec przyciskał nóż do krtani Toraka, pozbawiając go powietrza.

–Ona mu daje swój ogień – warknął. – Albo on poderżnie wilczemu chłopcu gardło! Zrobi to, tak, zrobi!

Przed oczami Toraka migotały czarne kropki.

–Renn... – nie mógł nabrać powietrza. – Krzesiwo.

–Bierz! – zawołała Renn, wygrzebując krzesiwo z małego mieszka. Stary człowiek zręcznym ruchem chwycił krzemień i rzucił Toraka na śnieg.

–Wędrowiec ma ogień! – krzyknął radośnie. – Piękny ogień! Nareszcie będzie mógł znaleźć Narika!

Teraz mogli uciec. Torak to wiedział, Renn też, ale żadne z nich się nie ruszyło.

–Ta boczna – dyszał Torak, pocierając gardło.

–Kim ona jest? – spytała Renn. Stary człowiek odwrócił się do niej tak gwałtownie, że ledwie zdążyła się uchylić

przed kopytem, które świsnęło w powietrzu.

–Wędrowiec jest szalony – zawołał kpiąco. – Kto więc mu uwierzy? Chwycił jedną z nóg renifera i zaczął ssać psującą się skórę.

–Ta boczna – mamrotał. – Nie jest sama, o nie, nie jest. Ma pokrzywione nogi i latające myśli. – Pociągnął nosem i splunął, prawie trafiając w Toraka. – Wielka jak drzewo,

miażdży małe stworzonka, wszystkie pełzacze i uciekacze za słabe, żeby się bronić. – Spazm bólu przemknął przez jego zniszczoną twarz. – A najgorsza – szepnął – jest ta Zamaskowana. Najokrutniejsza z okrutnych.

Renn rzuciła na Toraka przerażone spojrzenie.

–Ale Wędrowiec za nimi idzie – syknął stary człowiek. – O tak, tak, idzie i słucha w ciemności!

–Dokąd oni idą? – spytał Torak. – Czy Wilk wciąż żyje?

–Wędrowiec nic nie wie o wilkach! Szukają pustych krain! Dalekiej Północy! – Zakrzywionymi jak szpony palcami chwycił zgrubiałe tatuaże na gardle. – Najpierw jest ci zimno, a później nie. Potem jest ci gorąco, a na końcu umierasz. – Jego oko spojrzało jasno na Toraka i szalencie uśmiechnął się szeroko. – Oni chcą otworzyć Drzwi.

–Jakie drzwi? Gdzie? – szepnął Torak. Stary człowiek krzyczał i bił się pięściami w czoło.

–Ale gdzie jest Narik? Trzymają go i trzymają, a Narik się zgubił! Odwrócił się i ruszył w kierunku jeziora. Torak i Renn spojrzeli na siebie, podnieśli leżącą na śniegu broń i puścili się za nim

biegiem. Na lodzie Wędrowiec odnalazł swoje przybrudzone okrycie i podjął poszukiwania, pociągając nosem. Rzemyk jego łapcia obluzował się i pękł.

Torak przyniósł go i założył staremu człowiekowi na nogę. Stopa była poczerniała, odmrożona i bez palców.

–Co się stało? – zapytał. Wędrowiec wzruszył ramionami.

–To, co się zawsze dzieje, jak człowiek gubi ogień. Pogryzło go w palce, więc on je poodcinał.

–Co je pogryzło? – spytała Renn.

–To! To! – bił wiatr pięściami. Nagle twarz mu się zmieniła i przez chwilę Torak zobaczył go takim, jakim był przed

wypadkiem, który odebrał mu oko i rozum.

–Nigdy nie ustaje ten wiatr, nigdy nie odpoczywa. Dlatego jest taki wściekły. Dlatego odmroził palce Wędrowca. – Zaśmiał się. – Oj, okropnie smakowały! Nawet Wędrowiec nie mógł ich zjeść! Musiał je wypluć i zostawić lisom!

Torak poczuł, że coś mu podchodzi do gardła. Renn zakryła usta dłońmi.

–Teraz Wędrowiec wciąż się więc wywraca. Ale ciągle szuka swojego Narika. Wsadził pięść w pusty oczodół. Narik, pomyślał Torak. Mysz, która była ukochanym towarzyszem starego człowieka.

–Narika też zabrali? – spytał, chcąc zachęcić starca do mówienia. Wędrowiec smutno pokiwał głową.

–Narik niekiedy odchodzi. Zawsze wraca w nowym futrze. Ale nie tym razem.

–W nowym futrze? – spytała Renn.

–Tak, tak! – powiedział obłąkany zdecydowanie. – Jako leming, jako chomik. Jako mysz. Wszystko jedno, co to jest, to wciąż jest ten sam Narik!

–Aha – powiedziała Renn. – Rozumiem. W nowym futrze.

–Tylko ostatnim razem – powiedział Wędrowiec, a twarz mu się wykrzywiła z żalu –Narik już nie wrócił!

Szedł, zataczając się po lodzie i wyjąc do księżyca za utraconym przyjacielem. Ociągając się, zostawili go i ruszyli w stronę lasów po drugiej stronie jeziora.

–Będzie mu już lepiej, bo ma ogień – powiedziała cicho Renn.

–Nie, nie będzie – powiedział Torak. – Nie będzie mu lepiej bez Narika.

–Narik nie żyje. Jakaś sowa pewnie zjadła go na kolację – westchnęła.

–Będzie w takim razie miał innego Narika.

–Znajdzie go sobie. – Spróbowała się uśmiechnąć. – W nowym futrze.

–Ale jak? Jak on może wytropić mysz, przecież ma tylko jedno oko?

–Chodź. Musimy się spieszyć. Torak się zawahał. Słońce chyliło się już ku zachodowi, ślad szybko zniknął pod

nawianym śniegiem. Żal mu jednak było Wędrowca. Śmierdzący, wściekły, szalony starzec znalazł w życiu isierkę ciepła – swojego Narika, istotę, którą przygarnął. Teraz ta isierka zgasła.

Zanim Renn zdążyła zaprotestować, Torak rzucił swoje rzeczy i pobiegł z powrotem do jeziora. Starzec nie podniósł oczu, a Torak też się do niego nie odezwał. Pochylił się i zaczął szukać śladów.

Już po chwili znalazł jamę leminga. Zobaczył ślady łasicy, poszedł za nimi do wierzbowej kępy na brzegu jeziora. Przykucnął, słuchając delikatnych odgłosów, które powiedziały mu, gdzie zwierzątka wykopały norę.

Ich zimowe przytulisko z wieloma maleńkimi otworkami, jak dźgnięcia noża w śniegu, przypominało Torakowi niewielką kolonię borsuków. Rozglądając się po śniegu, znalazł otwór otoczony maleńkimi śnieżnymi strzałkami zamarznętego oddechu. A to oznaczało, że mieszkaniec tego domu jest u siebie.

Oznaczył to miejsce dwoma skrzyżowanymi gałązkami wierzby i pobiegł po

starego człowieka.

–Wędrowcze – powiedział łagodnie. Starzec odwrócił się do niego.

–Narik. Jest tam.

Wędrowiec zmrużył oko. Po chwili ruszył za Torakiem ku skrzyżowanym gałązkom. Torak patrzył. Mężczyzna ukląkł i zaczął odgarniać śnieg delikatnie, jakby piórkiem, a

nie dłonią. Potem pochylił się, żeby zdmuchnąć kilka ostatnich płatków. W środku, skulony na posłaniu z suchej trawy, leżał leming wielkości dłoni Toraka – miękka, oddychająca kuleczka czarno-pomarańczowego futra.

–Narik – szepnął Wędrowiec. Leming obudził się zdziwiony, stanął na nóżkach i syknął groźnie, żeby odstraszyć

intruza. Wędrowiec uśmiechnął się i wyciągnął ogromną, brudną dłoń.

Leming nastroszył futerko i znów syknął. Wędrowiec się nie ruszył.

Leming usiadł i energicznie podrapał się za uchem tylną łapą. Następnie posłusznie wszedł na stwardniałą dłoń Wędrowca, skulił się i zasnął. Torak zostawił ich bez słowa.

Na brzegu jeziora Renn podała mu broń i bagaż.

–Zrobiłeś dobry uczynek – powiedziała. Torak wzruszył ramionami, a po chwili uśmiechnął się.

–Narik trochę urósł od czasu, kiedy go ostatnio widzieliśmy. Teraz jest lemingiem. Zaśmiała się. Daleko nie uszli, kiedy usłyszeli skrzypienie śniegu i rozgniewany głos mamroczącego coś pod nosem Wędrowca.

–O, nie! – powiedziała Renn.

–Ja mu przecież pomogłem! – powiedział Torak.

–Dajesz? – ryknął Wędrowiec. W jednej dłoni trzymał nóż, którym wymachiwał w powietrzu, drugą przyciskał Narika do piersi. – Czy oni myślą, że mogą po prostu dać i sobie pójść? Czy oni myślą, że Wędrowiec zapomniał o starych obyczajach?

–Wędrowcze, nie gniewaj się – powiedział Torak – ale...

–Podarunek zawsze szuka czegoś w zamian! Tak się rzeczy mają! Teraz Wędrowiec musi oddać!

Torak i Renn zastanawiali się, co będzie dalej.

–Czarny lód – mówił świszczącym głosem Wędrowiec. – Białe niedźwiedzie, czerwona krew! Niech szukają oka żmii!

–Co to znaczy? – zapytał Torak z zapartym tchem.

–On się dowie – powiedział Wędrowiec. – Powiedzą mu lisy.

Nagle pochylił się, jak drzewo zwalone wiatrem, a spojrzenie, którym obrzucił Toraka, było mądre i pełne takiego bólu, że przedarł się on wprost do duszy Toraka.

–Wejść w to oko – dyszał Wędrowiec – to wejść w ciemność! Można nie odnaleźć drogi wyjścia, wilczy chłopcze, ale jak już raz tam się dostaniesz, nigdy nie będziesz całym człowiekiem. To zatrzyma część z ciebie tam, w dole. Tam, w dole, w ciemności.

Ciemność wypełzała nad Las, ale Wilk nawet tego nie zauważył. Tkwił w sidłach Ciemności własnej duszy – ciemności bólu, lęku i gniewu. Bolał go koniec ogona, na

który ktoś nastąpił podczas walki, i przednia łapa od ciosu olbrzymiego zimnego pazura. Nie mógł się ruszyć, ponieważ był wciśnięty w dziwne, ślizgające się drzewo, które bezogon ciągnął po Jasnym Miękkim Chłodzie. Nie mógł się nawet ruszyć, żeby polizać ranę. Leżał spłaszczony pod skręconą skórą jelenia, która mocno go przyciskała. Takiej skóry jeszcze nigdy nie widział. Miała mnóstwo dziur, ale nie wiadomo dlaczego była twardsza niż kość z nogi tura.

W jego wnętrzu narastał warkot, pragnąc się uwolnić, ale jeszcze więcej skóry zawiązano mu wokół pyska, nie mógł więc go wypuścić. To było najgorsze ze wszystkiego -nie mógł warczeć, kłapnąć zębami ani zawyc. Bolało, kiedy słyszał, że Wysoki Bezogon wyje do niego, a on nie mógł mu odpowiedzieć wyciem.

Wewnątrz własnej głowy Wilk widział wyraźnie Wysokiego Bezogona i samicę, którzy za nim biegli. Nadchodzili. Wilk był tego równie świadomy jak własnego zapachu. Wysoki Bezogon był jego wilczym bratem, a wilk nigdy nie opuszcza swojego brata, ale czy Wysoki Bezogon potrafi go znaleźć? Był bystry, ale tropienie nie szło mu za dobrze, bo nie był normalnym wilkiem. Tak, pachniał wilkiem (poza tym pachniał jeszcze czymś innymi i mówił jak wilk, chociaż nie umiał wyć na najwyższych tonach. Miał też jasne, srebrzyste oczy i duszę wilka. Ruszał się jednak powoli na zadnich nogach i kiepsko mu szło łapanie zapachów.

Nagle ślizgające się drzewo zadrżało i przystanęło. Wilk usłyszał ostre poszczekiwanie mowy bezogonów, następnie dotarło do niego zgrzytanie i skrzypienie Jasnego Miękkiego Chłodu, kiedy zaczęli kopać swoją Jamę.

Gdzieś za nim, pod drzewem, obudziła się wydra i zaczęła żałośnie piszczeć. Jęczała i piszczała bez końca, aż Wilk miał ochotę zacisnąć na niej szczęki, żeby przestała.

Usłyszał, jak bezogon podchodzi z tyłu. Był zbyt ściśnięty, żeby się odwrócić i spojrzeć, ale poczuł zapach ryby. Wydra przestała piszczeć i zaczęła sapać. Co za ulga.

Kilka skoków dalej Jasna-Bestia-która-Kąsa-Gorąco obudziła się z otwartą gębą. Wilk patrzył, jak wokół niej zbierają się bezogony.

Zadziwiali go. Do tej chwili myślał, że zna ich plemię. Znał przynajmniej stado Wysokich Bezogonów, z którymi biegał, stado pachnące krukami. Ale ci? Ci byli źli.

Dlaczego go napadli? Bezogony nie są wrogami wilków. Wrogowie wilków to niedźwiedzie i rysie, które zakradają się do Jam, żeby zabić małe wilczki. Ale nie bezogoniaści!

Oczywiście Wilk już wcześniej spotkał kilku złych, a nawet ci dobrzy warczeli czasami i machali przednimi łapami, kiedy za bardzo się zbliżał do ich mięsa. Ale żeby zaatakować bez ostrzeżenia? Żaden prawdziwy wilk tak by nie zrobił.

Wyteżając słuch i wzrok, Wilk patrzył, jak stado złych kuca wokół Jasnej-Bestii-która-Kąsa-Gorąco. Nastawił przygniecione uszy, żeby słuchać, i węszył, próbując się zorientować w ich przemieszanych zapachach.

Niewysoka kobieta pachniała świeżymi liśćmi, ale język miała czarny i spiczasty jak żmija, a wykrzywający jej twarz uśmiech był pusty jak tusza zwierzęcia rozdziobana przez kruki. Druga kobieta, ta wielka z krzywymi zadnimi łapami, była

sprytna, ale Wilk wyczuwał, że nie bardzo wie, jakie jest jej miejsce w stadzie i w ogóle jest niepewna siebie. Na jej wierzchniej skórze wyczuwał plamę śmierdzącego futra. Było to futro dziwnego łupu, którego zapach zwabił go w pułapkę.

Ostatni w stadzie był olbrzymi samiec z długą jasną sierścią na głowie i pysku, z którego śmierdziało mu sokiem świerkowej kory. Był najgorszy, bo lubił się znęcać. Śmiał się, depcząc po ogonie Wilka i naciął mu wewnętrzną stronę łapy wielkim zimnym szponem.

To właśnie ten z jasną sierścią wstał na tylne łapy i podszedł do Wilka.

Wilk zawarczał głucho.

Jasna Sierść obnażył zęby i zbliżył swój wielki szpon do pyska Wilka. Wilk się cofnął.

Jasna Sierść naśmiewał się z lęku Wilka.

Ale co to? Pysk Wilka był wolny! Jasna Sierść rozciął skórę z otworami i teraz pysk Wilka był swobodny!

Wilk wykorzystał szansę i chciał skoczyć do przodu, ale skóra jelenia wciąż go trzymała, nie potrafił też uwolnić szczęk, żeby porządnie ugryźć.

Teraz przysłała ta duża pokręcona samica ze śmierdzącym futrem.

Jasna Sierść machnął jeszcze raz w kierunku Wilka pazurem, ale Śmierdzące Futro warknęła na niego. Jasna Sierść popatrzył na nią nieruchomym wzrokiem, żeby wiedziała, kto jest przywódcą stada, a później odszedł, sztywno stawiając nogi.

Śmierdzące Futro kucnęła przy Wilku i wsunęła kawałek łośiego mięsa przez dziurę w skórze jelenia.

Wilk nie zwrócił na to uwagi. Czy te bezogony sądzą że jest głupi? Myślą że jest psem, który od każdego weźmie mięso?

Śmierdzące Futro uniosła przednie łapy i odeszła.

Teraz samica z językiem żmii odeszła od Jasnej Bestii i zbliżyła się do Wilka. Kucnęła na zadnich łapach i zaczęła do niego cicho przemawiać. Chcąc nie chcąc, słuchał. Głos przypominał trochę głos samicy, która była wilczą siostrą Wysokiego Bezogona. Jej mowa była ostra i mądra, ale pod spodem bardzo łagodna. Słuchając samicy o żmijowym języku, Wilk wyczuł nosem, że ona się go nie boi, że jest tylko ciekawa.

Wzdrygnął się, kiedy wyciągnęła do niego przednią łapę, ale nie dotknęła go. Poczul tylko chłód na boku. Zadrzały mu wąsy. Samica smarowała mu futro krwią łośia!

Zapach był tak pociągający, cudowny, że Wilk poczuł ślinę ciekącą mu z pyska i pustkę w głowie; wszystkie myśli gdzieś uciekły. Walczył i miotał się, w końcu udało mu się jakoś przekręcić i zaczął lizać.

Wiedział, że to, co zrobiła samica, było dziwne. Miała coś takiego w głosie, co kazało mu mieć się na baczności, ale nie potrafił przestać. Żądza krwi chwyciła go w swoje szpony i po chwili moc łośia zaczęła mu krążyć w żyłach. Lizał i nie potrafił przestać.

Nagle poczuł, że robi się bardzo zmęczony. W głowie miał czarną mgłę, oczy mu się zamykały. Czuł się tak, jakby miażdżył jakiś olbrzymi kamień.

Jak przez mgłę usłyszał cichy, niedobry śmiech kobiety o żmijowym języku, wiedział, że go oszukała. Krew łosia, którą go nakarmiła, była zła, i teraz Wilk zapadał w Ciemność.

Mgła gęstniała, lęk chwycił go w szpony. Ostatnim wysiłkiem umysłu wysłał bezgłośnie wycie ku Wysokiemu Bezogonowi.

Boisz się? – spytał Torak. – Tak – odparła Renn.

– Ja też. Stali na skraju Lasu, pod ostatnim, naprawdę ostatnim drzewem. Przed nimi

rozciągała się pustka śnieżnej ziemi pod bezkresnym niebem. Gdzieś ogłuszone sosny walczyły z naporem wiatru, ale była to ostatnia oznaka życia.

Znajdowali się teraz tak daleko na północy, jak tylko odważyły się wyprawić klany leśne, nie licząc Fin-Kedinna, który jako młody człowiek wypuścił się w skute lodem krainy. W ciągu dwóch dni, odkąd spotkali Wędrowca, przeszli przez trzy doliny i widzieli z daleka blask Lodowej Rzeki u stóp Wysokich Gór, gdzie dwie zimy temu rozbił się obozem klan Kruków, a Torak wyruszył na poszukiwanie Góry Ducha Świata.

Stali twarzami do północnego wiatru owiewającego im policzki i wpatrywali się w trop zostawiony przez tych, którzy porwali Wilka, przypominający brutalne cięcie nożem przez śnieg.

– Sami chyba nie damy rady – powiedziała Renn. – Potrzebujemy pomocy. Potrzebujemy Fin-Kedinna.

– Teraz nie możemy wrócić – odparł Torak. – Teraz nie ma czasu. Zamilkła. Od spotkania z Wędrowcem była dziwnie cicha. Torak zastanawiał się, czy i ona myśli o tym, co powiedział starzec. Pokrzywione nogi i latające języki... Ta boczna... Ogromny jak drzewo... Te słowa budziły echa w jego umyśle – echo opowieści Fin-Kedinna o Pożeraczach Dusz. Nie potrafił jednak wymówić tych słów głośno. To na pewno nie oni. Dlaczego mieliby porwać Wilka, a nie jego? Więc w końcu mruknął tylko:

– Wilk nas potrzebuje. Renn nie odpowiedziała.

Nagle Toraka chwycił lęk, że ona zawróci i zostawi go samego. Lęk był tak ogromny, że chłopakowi zabrakło tchu. Przyglądał się, jak Renn zgarnia śnieg, który oblepił łuk, i zarzuca broń na ramię. Przygotował się na najgorsze.

– Masz rację – powiedziała nagle. – Chodźmy.

Nie oglądając się za siebie, wyszła zza zasłony drzew. Torak ruszył za nią prosto w krainę pustki.

Kiedy tylko wyszli z Lasu, poczuli na sobie ciężar nieba; północny wiatr smagał ich twarze śniegiem.

W Lesie Torak zawsze, jak każdy prawdziwy łowca, był świadom obecności wiatru, ale wiatr nigdy mu nie zagrażał, chyba że nadchodziła burza, bo zazwyczaj siła Lasu utrzymywała wiatr pod kontrolą. Tutaj jednak nic go nie mogło powstrzymać. Był dużo silniejszy, zimniejszy i dzikszyszy – złośliwy, niewidzialny duch, który nadlatywał, żeby niepokoić małych intruzów.

Drzewa robiły się rzadsze, mniejsze, aż skurczyły się do rozmiarów karłowatych

wierzby i brzozy sięgających najwyżej do kolan. Później nie było już nic. Nic zielonego. Żadnych łowców, żadnej zwierzyny. Tylko śnieg.

Torak obejrzał się za siebie i ogarnęła go rozpacz, gdy zobaczył, że Las wygląda teraz jak czarna linia namalowana węglem na horyzoncie.

– Tam jest krawędź świata – powiedziała Renn, przekrzykując wiatr. – Jak daleko to sięga? Co będzie, jeśli spadniemy?

– Jeżeli gdzieś tam jest krawędź świata, ci, którzy pojмали Wilka, spadną pierwsi – odrzekł Torak.

Ku jego zdziwieniu Renn uśmiechnęła się, szczerząc ostre zęby.

Czas płynął. Śnieg był tu twardszy niż w Lesie, nie musieli więc wkładać rakiet śnieżnych, ale północny wiatr nawiewał biały puch, tworząc niskie, twarde, strome krawędzie, o które się potykali.

Nagle wiatr złagodniał. Teraz wiał delikatnie z północnego wschodu. Najpierw poczuli ulgę. Po chwili jednak Torak zorientował się, co się dzieje – nie widział własnych stóp. Stał w rzece śniegu. Wokół jego łydek kręciły się długie, upiorne strumienie bieli, płynęły jak dym, zacierając ślady.

– Wiatr zamazuje trop! – krzyknął. – Wie, że go potrzebujemy, więc go niszczy!

Renn wybiegła naprzód, żeby zobaczyć, czy dalej trop jest wyraźniejszy, i wyrzuciła ramiona w górę.

– Nic! Nawet ty go nie znajdziesz! Kiedy wróciła do niego biegiem, Torak zobaczył jej wyraz twarzy i siły go opuściły.

Wiedział, co Renn powie, bo sam o tym myślał już od dłuższego czasu:

– Torak! Tak nie można! Tu nie przeżyjemy. Musimy wracać.

– Ale ludzie tu żyją, prawda? – zaczął ją przekonywać. – Klany Lodu? Narwale, Pardwy i Białe Lisy? Czyż nie tak mówił Fin-Kedinn?

– Oni wiedzą, jak tu przetrwać. My nie.

– Ale przecież mamy suszone mięso i drewno na opał. Drogę znajdziemy dzięki Gwieździe Północy.

Możemy zrobić opaski na oczy z miękkich skrawków kory, żeby nie raziła nas biel śniegu, a przecież i tutaj jest zwierzyna łowna. Pardwy. Zające. Tak sobie radził Fin-Kedinn.

– Co będzie, jak nam się skończy drewno? – spytała Renn.

– Tu są wierzby, o których opowiadał, niskie, sięgają tylko do kolan, ale przecież można...

– Widzisz tu jakieś wierzby? Jeżeli są, to zakopane pod śniegiem! Twarz miała bladą, wiedział, że za jej słowami skrywa się głębszy lęk. Klany szeptały

sobie przy ogniskach opowieści o Dalekiej Północy. Wichury tak potężne, że porywały człowieka z wyciem w samo niebo. Wielkie białe niedźwiedzie, większe i okrutniejsze niż niedźwiedzie w Lesie. Śnieg, który padał tak gęsto, że zasypywał człowieka żywcem. Renn wiedziała coś o gęsto padającym śniegu. Kiedy miała tylko siedem wiosen, jej ojciec wyprawił się na Lodową Rzekę na wschód od jeziora Ostrza Topora. Już nie wrócił.

– Sami sobie nie poradzimy – powiedziała. Torak potarł dłonią twarz.

–Zgadzam się. Ale dzisiaj sobie poradzimy. Powinniśmy rozbić obóz. Chyba jej ulżyło.

–Patrz, tam jest wzgórze. Możemy wykopać jamę w śniegu. Skinął głową.

–Potem ja zrobię, co trzeba, żeby odnaleźć trop.

–Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała niepewnie.

–Mam zamiar chodzić z duchami. Opadła jej szczęka.

–Toraku, nie!

–Posłuchaj mnie. Odkąd ujrzeliśmy tego kruka, cały czas o tym myślę. Mogę pójść z duchami w ciele ptaka, tego jestem pewien. Mogę ulecieć wysoko, pod samo niebo, i patrzeć bardzo, bardzo daleko. Zobaczę trop!

Renn skrzyżowała ręce na piersi.

–Ptaki potrafią latać. A ty nie.

–Nie będę musiał. Moje dusze będą w ciele ptaka, na przykład kruka, i zobaczą to, co widzi kruk, będę czuł to, co i on czuje. Ale wciąż będę sobą.

Obeszła go wkoło, po czym stanęła z nim twarzą w twarz.

–Saeunn mówi, że jeszcze nie jesteś gotowy. Ona jest Szamanką naszego klanu. Ona wie.

–Ale zeszłego lata...

–Udało ci się tylko przypadkiem! I bolało! Nie potrafiłeś nad tym zapanować! Torak, twoje dusze utknęły w środku, przecież mogłeś nigdy nie wyjść! Co się wtedy stanie z twoim ciałem? Z tym, które leży na śniegu, a trzyma je przy życiu tylko dusza świata? – Głos miała ostry, policzki zaróżowione. – Możesz umrzeć, wiesz? Będę musiała siedzieć na śniegu i patrzeć, jak umierasz!

Nie mógł się z nią spierać, bo wszystko, co mówiła, było prawdą. Powiedział tylko:

–Musisz mi pomóc znaleźć kruka. Musisz mi pomóc przygotować moje dusze.

Pomożesz mi czy nie?

Najpierw musimy ściągnąć uwagę kruka – rzekł Torak. Czekał, czy Renn coś na to powie, ale ona kopała jamę w śniegu, dając mu jasno do zrozumienia, że nie chce w tym uczestniczyć.

–Widziałem gniazdo na samym skraju Lasu – powiedział. Uderzyła toporkiem i w powietrze wyleciały kawałki zmrożonego śniegu.

–To tylko dzień marszu stąd – dodał – ale może tu żerują. Mam ze sobą przynętę.

Przerwała w połowie ruchu.

–Jaką przynętę? Wyjął z plecaka wiewiórkę.

–Ustrzeliłem ją wczoraj. Kiedy napełniałem bukłaki wodą.

–Wszystko sobie zaplanowałeś – powiedziała oskarżycielsko. Spojrzał na wiewiórkę.

–Aha. Pomyślałem, że będzie mi potrzebna.

Renn ponownie zaatakowała śnieg, uderzając jeszcze mocniej w twardą skorupę. Torak położył wiewiórkę dwadzieścia kroków od jamy, którą wykopywała Renn; dzięki temu, kiedy jego dusza imienia i dusza klanu opuszczą ciało, nie będą miały daleko do kruka. W każdym razie taką miał nadzieję. Nie miał pojęcia, czy mu się uda, bo nie wiedział nic o chodzeniu z duchami. Nikt nie wiedział.

Wyciągnął nóż, przeciął brzuch wiewiórki i cofnął się o krok, żeby sprawdzić efekt.

–To się nie uda – zawołała Renn.

–Przynajmniej spróbuję – odparł. Otarła czoło wierzchem rękawiczki.

–Nie o to chodzi. Nie tak to robisz. Kruki są za sprytne i w ten sposób ich nie oszukasz. Pomyślą, że to pułapka.

–No tak – powiedział Torak. – Oczywiście, masz rację.

–Zrób tak, jakby ją zabił wilk. Tego będą szukać. Zabitego zwierzęcia. Renn zapomniała o swojej niechęci i razem z Tomkiem zabrała się do roboty.

Drapaczką do skór zrobioną ze zwierzęcej łopatki posiekali wątrobę wiewiórki, zmieszali ją ze śniegiem i rozchlapali dookoła. Wyglądało to jak ślady krwi. Następnie Torak odciął tylną nogę zwierzątka i odrzucił na bok, jakby wilk odbiegł kilka kroków, żeby zjeść w spokoju. Renn przyjrzała się scenie „zabójstwa”.

–Już lepiej – powiedziała. Cienie robiły się błękitne, wiatr odleciał na północ, pozostawiając tylko lekki powiew;

płatki śniegu opadały na ciało wiewiórki.

–Kruki polecą do domu. Będą odpoczywać na drzewach – powiedział Torak. – Jeżeli tu przylecą, to dopiero przed świtem.

Renn wzdygnęła się.

–Trudno mi w to uwierzyć, ale Fin-Kedinn mówi, że tu są białe lisy, nie możemy więc spać, bo będziemy musieli odpędzać je od martwej wiewiórki.

–Nie będziemy też mogli rozpalić ogniska, bo kruki wyczują dym. Renn przygryzła wargę.

–Wiesz, że nie możesz nic jeść? Żeby wejść w trans, musisz pościć. Torak o tym zapomniał.

–A ty?

–Zjem, jak nie będziesz patrzył. Później zrobię papkę, żeby rozluźnić twoje dusze.

–Masz wszystko, czego ci trzeba? Klepnęła dłonią w woreczek z ziołami.

–Zebrałam kilka rzeczy jeszcze w Lesie. Torak się uśmiechnął.

–Wszystko sobie zaplanowałam. Renn miała bardzo poważną minę.

–Miałam przecucie, że będę musiała.

Niebo ciemniało, tylko kilka gwiazd błyszczało na nieboskłonie.

–O świcie – mruknął Torak. To będzie długa noc.

Torak wtulił się w śpiwór i usiłował przestać się trząść. Trząsał się już całą noc i miał tego dosyć. Wyjrzał przez otwór w śnieżnej jaskini i zobaczył na wpół zjedzony księżyc, który świecił jasnym światłem. Do świtu już niedaleko. Niebo było czyste i jak okiem sięgnąć ani jednego kruka.

W jednej rękawiczce ścisnął kawałek kory brzozy, w którym była zrobiona przez Renn papka rozluźniająca dusze – zioła zmieszane z tłuszczem jelenia, którymi będzie musiał wysmarować twarz i ręce, kiedy Renn da znak. W drugiej trzymał mały woreczek z surowej skóry, związany zwierzęcą żyłą. Ze środka dymiło coś, co Renn nazwała „esencją dymu”. Spytał, co tam jest, ale powiedziała, że lepiej, żeby nie wiedział, nie dopytywał się więc. Renn miała talent do Magii, ale z powodów, których

nigdy nie wyjaśniała, próbowała go zignorować. Uprawianie Magii wprawiało ją w zły nastrój.

W brzuchu mu burczało i Renn szturchnęła go łokciem pod żebro. Powstrzymał się, by nie szturchnąć jej w odpowiedzi. Był tak głodny, że myślał, iż jeżeli wkrótce nie zjawi się ten kruk, on sam zje wiewiórkę.

Na wschodzie pojawiła się cienka, szkarłatna linia i przemknął przez nią czarny kształt, ślizgając się w powietrzu na tle gwiazd.

Renn znów szturchnęła Toraka.

–Widzę – szepnął.

Za pierwszą szybowała druga sylwetka – partnerka kruka. Skrzydło w skrzydło oba ptaki pokrzyżyły chwilę nad zabitą wiewiórką i odleciały.

Po jakimś czasie wróciły; i tym razem leciały trochę niżej. Piąty przelot był tak niski, że Torak słyszał uderzenia ich skrzydeł – silne, rytmiczne, świszczące.

Łebki ptaków obracały się na boki, oczy obserwowały przestwór śniegu. Torak był teraz zadowolony, że zakopali swoje rzeczy tuż obok jamy śnieżnej, którą Renn ukształtowała tak, by przypominała wzgórek. Zostawiła tylko maleńką szczelinę, przez którą mogli oddychać i obserwować świat na zewnątrz. Kruki to najmądrzejsze z ptaków, zmysły mają wyczulone i ostre jak żdźbło trawy.

Nad krawędzią świata zapłonął żółty ogień, ale kruki wciąż krążyły, przyglądając się zabitemu zwierzęciu.

Nagle jeden zwinął skrzydła i spadł z nieba.

Torak zdjął obie rękawiczki; był gotów.

Kruk bezgłośnie wylądował na śniegu. Widzieli jego oddech ulatujący chmurką w powietrze, kiedy ptaszysko gapiło się na ich jamę. Rozpostarte skrzydła sięgały szerzej niż wyciągnięte ramiona Toraka, a kruk był doskonale czarny. Oczy, pióra, nogi, szpony miał jak pierwszy kruk świata, który obudził słońce z zimowego snu i za to został spalony na węgiel.

Ptaka bardziej interesował się jednak wiewiórką, do której podchodził sztywno, kołyszając się z boku na bok.

–Teraz? – bezgłośnie spytał Torak. Renn pokręciła głową. Kruk niepewnie dziobnął ciało martwej wiewióрки. Następnie podskoczył wysoko w powietrze, wylądował i odleciał. Sprawdzał, czy wiewiórka rzeczywiście nie żyje. Ponieważ martwe zwierzę się nie ruszało, oba kruki opadły na śnieg. Ostrożnie zbliżyły się do wiewióрки.

–Teraz – powiedziała bezgłośnie Renn. Torak wysmarował się papką. Pachniała kwaśno i zielono, gryzła go w oczy i przyprawiała o gęsią skórkę. Rozwiązał mieszek z surowej skóry i wciągnął do płuc esencję dymu.

–Połknij wszystko – szeptała mu Renn do ucha. – I nie kasłaj! Dym był gorzki, Torak z trudem powstrzymał kaszel. Poczuł na policzku oddech Renn.

–Niech opiekun klanu leci z tobą! Było mu niedobrze, patrzył, jak olbrzymi kruk dziobie zamrożone trzewia. Poczuł

ostrzy ból szarpiący jego własne wnętrzności i na chwilę ogarnęła go nieopisana panika. Nie, nie chcę...

...I nagle kłuł i szarpał wnętrzności wiewiórki silnym dziobem, wrywał przepyszne skrawki zmarzniętego mięsa.

Szybko wypełnił wole, następnie wydziobał oko. Rozkoszując się śliską gładkością na języku, rozpostarł skrzydła i skoczył na wiatr, który uniósł go ku światłu.

Wiatr był przenikliwie zimny i niewyobrażalnie silny. Torakowi serce rosnęło z radości, kiedy wzbijał się coraz wyżej i wyżej. Uwielbiał chłód, drobnymi falami podchodzący mu pod pióra i poruszający lotki pod jego skrzydłami, zapach lodu w nozdrzach i dziki śmiech wiatru, który przenikał całe jego ciało. Kochał łatwość, z jaką wzbijał się coraz wyżej i wyżej, kołując i obracając się najlżejszym ruchem skrzydeł – kochał siłę tych pięknych, czarnych skrzydeł.

Usłyszał szum i zobaczył tuż obok swoją partnerkę. Złożyła skrzydła, stoczyła się z ramion wiatru i delikatnie poruszyła ogonem, prosząc go o taniec w powietrzu. Sunąc za nią, uchwycił swoimi zmrożonymi szponami jej szpony, razem złożyli skrzydła i zanurkowali.

Lecieli coraz szybciej przez strumienie chłodu, lecieli w wirze czarnych piór i smugach słońca, unosząc pod niebo radość z szybkości, a ogromny biały świat pędził im na spotkanie.

Jakby na umówiony sygnał rozdzielili szpony, on rozpostarł skrzydła i uderzył w strumień wiatru. Teraz znów wzbijał się w górę, szybował ku słońcu. Swoimi kruczymi oczami widział ziemię po horyzont. Gdzieś daleko na wschodzie spostrzegł białego lisa biegnącego truchtem przez śnieg. Na południu widział ciemny skraj Lasu. Na zachodzie pobrużdżoną powierzchnię zamrzniętego Morza. Na północy dwie postaci na śniegu.

Zakrakał i rzucił się w pościg.

–Kra, kra, kra? – zawołała jego zdziwiona współtowarzyszka.

Zostawił ją z tyłu. Bezkresna biel przemykała mu pod brzuchem.

Był już blisko, zakręcił i zrobił pętlę w powietrzu. W jednej chwili obraz, który zobaczył, na zawsze wbił mu się w pamięć. Chłonał każdy szczegół.

Zobaczył dwie postaci ciągnące sanie. Zobaczył Wilka przymocowanego do sań, unieruchomionego. Kiedy wyteżał wzrok, żeby uchwycić chociaż drgnienie łapy lub najmniejsze poruszenie, które powiedziałyby mu, że Wilk wciąż żyje, zobaczył, jak większy człowiek przystaje, zdejmując kurtkę przez głowę i rozluźnia zapięcie kaftana przy szyi, żeby się ochłodzić. Zobaczył błękitnoczarny tatuaż na mostku mężczyzny – trójzębny harpun do nadziewania dusz. Znak Pożeracza Dusz.

Z kruczego dzioba wydobyło się pełne przerażenia krakanie. Pożeracze Dusz. Pożeracze Dusz porwali Wilka.

Wzleciał wyżej, oślepiło go słońce. Wiatr zerwał się i zawył, rzucił go w bok.

Jego odwaga pękła jak cienki lód.

Wiatr zawył tryumfalnie.

Poczuł wewnątrz ostry ból – znów był Torakiem, spadał z nieba na ziemię.

Torak obudził się w błękitnej poświacie wygrzebanej w śniegu jamy. W uszach wciąż rozbrzmiewał mu wściekły śmiech wiatru. Klęczała nad nim przerażona Renn.

–O, dzięki ci, Duchu! Cały ranek próbuję cię dobudzić!

–Cały ranek? – wymamrotał. Czuł się jak kawałek surowej skóry, którą obtłuczono i zdarto z niej mięso.

–Jest południe – powiedziała Renn. – Co się stało? Wdychałeś śnieg, wywracałeś oczami. To było przerażające!

–Spadłem – powiedział. Z każdym oddechem czuł ból wbijający mu się ostrzem w żebra, wszystkie stawy wrzeszczały z bólu. Ciało wciąż go jednak słuchało, nie miał więc połamanych kości. – Czy ja... Czy jestem potłuczony?

Pokręciła głową.

–Ale dusze też mogą się potłuc. Leżał nieruchomo i patrzył na kroplę, która lada chwila miała skapnąć ze stropu.

Pożeracze Dusz porwali Wilka.

–Dostrzegłeś trop? – spytała Renn. Przełknął ślinę.

–Na północ. Poszli na północ. Wyczuła, że czegoś jej nie powiedział.

–Jak tylko wpadłeś w trans, zerwał się wiatr – powiedziała. – Wiał wściekle.

–Leciałem w powietrzu. Nie nadaję się do latania. Kropla wody spadła na kurtkę Renn i zatopiała się w futrze jak dusza spadająca na ziemię.

–Nie powinieneś być tego robić – powiedziała.

Z trudem i z bólem unosząc się na łokciu, To rak wyrzwał przez szczelinę w śniegu. Wiatr wiał delikatnie, ale upiorne śnieżne palce wróciły.

–Chyba jeszcze z nami nie skończył – powiedziała Renn.

Torak znów się położył i podciągnął śpiwór pod policzek. Pożeracze Dusz porwali Wilka.

Nie miał odwagi jej tego powiedzieć, przynajmniej jeszcze nie teraz. Jak się dowie, będzie się upierać, że powinni wrócić do Lasu po pomoc. Albo sobie pójdzie.

Zacisnął powieki.

–Kim są Pożeracze Dusz? – zapytał kiedyś Fin-Kedinna. – Nie znam nawet ich imion.

–Niewielu ludzi zna te imiona – odparł Fin-Kedinn. – Jeżeli je znają to nie wymieniają ich głośno.

–Czy ty je znasz? – nalegał Torak. – Czemu mi nie chcesz powiedzieć? Moim przeznaczeniem jest z nimi walczyć.

–Przyjdzie na to czas – tylko tyle powiedział przywódca Kruków.

Torak nie potrafił go do końca zrozumieć. Fin-Kedinn go przygarnął, kiedy zabito jego ojca. Wiele lat temu Tata i wódz Kruków byli przyjaciółmi. Fin-Kedinn rzadko jednak mówił o przeszłości, a ujawniał tylko to, co, jak uważał, Torak powinien wiedzieć.

Teraz więc Torak wiedział niewiele więcej ponad to, że Pożeracze Dusz knuli, jak przejąć władzę nad Lasem. Później ich potęga rozpadła się w wielkim pożarze, a oni

sami gdzieś się poukrywali. Dwaj z siedmiu Pożeraczy Dusz zginęli, a zgodnie z prawem klanowym nie wolno było wymieniać ich imion przez następne pięć wiosen. Jednym z nich był ojciec Toraka.

Głęboko w sercu Torak czuł dobrze już znany ból. Tata dołączył do nich, żeby czynić dobro – to właśnie powiedział mu Fin-Kedinn. W to Torak wierzył z całego serca. Kiedy przeszli na stronę sił zła, Tata próbował odejść, więc obrócili się przeciwko niemu. Przez trzynaście zim polowano na niego, jego syn był wychowywany z dala od klanu, nigdy też nie mówiło się o jego przeszłości. Wtedy, jedną jesień przed tą która właśnie minęła, Pożeracze Dusz przysłali demona w ciele niedźwiedzia, który go zabił.

Teraz zaś porwali Wilka. Ale dlaczego Wilka, a nie jego, Toraka, dlaczego, dlaczego, dlaczego?

Zasnął wśród wycia wiatru.

Ktoś nim potrząsał, wołając go po imieniu.

–Co? – mruknął, wtulając twarz w miękkie futro śpiwora.

–Torak, zbudź się! – krzyczała Renn. – Nie możemy wyjść! Siadł niepewnie, bo niskie sklepienie śnieżnej jamy nie pozwalało się całkowicie wyprostować. Siedząca obok Renn walczyła z paniką.

Szczeliny w śnieżnej jamie już nie było. Zamiast niej Torak zobaczył ścianę zbitego śniegu.

–Kopałam, ale nie mogę się przebić – powiedziała Renn. – Zasypało nas śniegiem. Musiało padać całą noc.

Torak zauważył, że powiedziała „padało”, a nie: „to wiatr nas tu zakopał, kiedy spaliśmy”.

–Gdzie jest mój toporek? – spytał. Zobaczył grymas na jej twarzy.

–Na zewnątrz. Oba są na zewnątrz, tam, gdzie je zostawiliśmy. Z całą resztą naszych rzeczy.

Przyjął jej słowa w milczeniu.

–Powinnam była wnieść je do środka – powiedziała Renn.

–Nie było miejsca.

–Należało zrobić miejsce. Powinnam była o tym pomyśleć.

–Opiekowałaś się mną, to nie twoja wina. Mamy noże. Jakoś się wykopujemy. Wyciągnął swój nóż. Fin-Kedinn zrobił mu go zeszłego lata – cienkie ostrze z kości renifera ponabijane cieniutkimi jak liść płatkami krzemienia. Nie miało służyć do kopania w utwardzonym przez wiatr śniegu. Niebieski nóż z łupku, który należał kiedyś do Taty, byłby tu lepszy, ale Fin-Kedinn ostrzegł Toraka, że powinien go chować w plecaku. Teraz chłopiec tego żałował.

–To zaczynamy – powiedział, próbując zachować spokój. To było przerażające. Kopanie tunelu na chybił trafił, na oślep. Nie mieli gdzie

przesuwać wyrąbanego śniegu, mogli go tylko rzucać za siebie, toteż, choć ciężko pracowali, wciąż tkwili w jednakowo ciasnej dziurze. Kapiące ściany napierały ze wszystkich stron, a w głośnych oddechach uwięzionych słychać było nutę paniki.

Posunęli się do przodu mniej więcej na długość ramienia i Torak odłożył nóż. Nic

z tego nie będzie. Renn wlepiła w niego wzrok. Jej oczy były ogromne.

–Masz rację. Taka zaspą może się ciągnąć... Możemy nigdy stąd nie wyjść. Widział, z jakim wysiłkiem zachowuje spokój, i zgadywał, że Renn myśli o swoim ojcu.

–Będziemy teraz kopać w górę – powiedział.

Skinęła głową. Kopanie w górę było znacznie trudniejsze. Bryły śniegu spadały im na oczy, śnieg sypał się za kołnierze, bolały ich ramiona. Pracowali odwróceniem do siebie plecami, udeptywając śnieg podszwami butów. Torak tak mocno zaciskał szczęki, że zaczynały go boleć.

Stopniowo śnieg nad nimi robił się coraz bardziej jasnoblękitny.

–Renn! Popatrz! Już to zauważyła. Gorączkowo uderzali trzonkami noży. Nagle śnieg pękł jak skorupka jajka i znaleźli się na powietrzu.

Jasność była oślepiająca, a zimno paliło w płucach. Zadarli głowy, z otwartymi ustami gapiąc się w niebo jak pisklęta. Po chwili wygramolili się na zewnątrz i padli na śnieg. Lekki wietrzyk chłodził ich mokre od potu włosy. Wiatru już nie było.

Torak zaśmiał się niepewnie.

Renn leżała na wznak, patrząc w pustkę.

Torak usiadł i zobaczył, że ich śnieżną jamę przykrył długi wznórek śniegu, którego poprzedniego wieczoru tam nie było.

–Nasze rzeczy – powiedział. – Gdzie są nasze rzeczy? Renn zerwała się na równe nogi. Oprócz noży i spiworów wszystko, czego potrzebowali – łuki, strzały, toporki, żywność, drewno na opał, bukłaki na wodę, skóry do gotowania – wszystko leżało gdzieś pod śniegiem. Torak z pozornym spokojem otrzepywał śnieg ze spodni.

–Wiemy, gdzie jest nasza śnieżna jama. Wykopiemy dookoła niej rów. Prędzej czy później wszystko znajdziemy.

Oboje wiedzieli, że jeżeli nie znajdą swoich rzeczy przed zmrokiem, mogą nie przetrwać następnej nocy. Ten jeden błąd mógł ich kosztować życie. Tyle czasu kopali w górę, a teraz uświadomili sobie z goryczą, że muszą kopać w dół. Kiedy tylko zaczęli, wrócił wiatr, rozrzucając wokół nich śnieg i wzbijając oślepiające, zatykające usta białe obłoki.

Torak już zaczynał tracić nadzieję, kiedy Renn krzyknęła:

–Mój łuk! Znalazłam łuk! Dopiero późnym popołudniem odnaleźli wszystko. Byli wyczerpani, złani potem i straszliwie chciało im się pić.

–Powinniśmy się wkopać w śnieg – dyszała Renn. – I poczekać do świtu.

–Nie możemy – powiedział Torak. Czuł przemożną potrzebę podążania za Wilkiem.

–Wiem – odrzekła Renn. – Wiem. Zjedli trochę suszonego mięsa i napili się wody z bukłaków, a następnie obwiązali

oczy opaskami z brzoźowej kory, żeby słońce tak mocno ich nie raziło. Niestety, powinni byli

to zrobić znacznie wcześniej. Wyruszyli, kierując się według słońca na północ, słońca, które teraz zniżało się ku horyzontowi.

Torak czuł pulsowanie w skroniach i potykał się ze zmęczenia. Miał dziwne uczucie, że nie powinien tego robić, że nie myśleli jasno, ale był zbyt zmęczony, żeby się nad tym zastanawiać.

Szeroki płaskowyż ustąpił miejsca stromym graniom i przyprawiającym o zawrót głowy błękitnym zaspom nawianego śniegu. Niekiedy tworzyły niebezpieczne nawisy, unoszące się nad nimi jak monstrualne, zamarzniete fale. Północny wiatr nie ustawał. Był wściekły. Mściwy. Nienasycony.

W padającym ze wszystkich stron śniegu trudno było ocenić odległość. Mieli wrażenie, że nie zaszli daleko, ale kiedy Torak wszedł na wzniesienie i obejrzał się, Lasu nie było już widać. Silny poryw wiatru uderzył go w plecy i chłopiec upadł, przetaczając się i turlając aż do stóp wzniesienia.

Renn zsunęła się za nim.

–Powinieneś wbić topór w śnieg i tak się zatrzymać – mówiła pod nosem, pomagając mu wstać. Topór miał zatknięty za pas, ale nie zdążył go wyjąć.

Od tej chwili szli z toporkami w dłoniach.

Byli już zmęczeni, kiedy wyruszali, ale teraz każdy krok stał się potworną męką. Wróciło pragnienie, lecz już nie mieli drewna, żeby topić śnieg. Wiedzieli, że nie powinni go jeść, ale i tak wkładali kawałki lodu do ust. Śnieg odparzał im wargi, czuli sztywnienie języka i policzków. Wiatr wciąż wiał, siekąc ich czoła i policzki maleńkimi ziarenkami lodu, aż popękała im skóra i zaczęły krwawić usta.

My nie jesteśmy stąd, pomyślał Torak jak przez mgłę. Wszystko jest nie tak. Nic nie jest tak, jak być powinno.

Raz usłyszeli gdakanie pardw. Było zadziwiająco blisko, ale kiedy zaczęli szukać, ptaki umilkły.

Innym razem Renn zobaczyła z daleka jakiegoś mężczyznę, ale kiedy do niego doszli, okazało się, że to po prostu skała; doczepiono do niej włosy i okryto ją skórą. Kto to tu postawił i po co?

Mokre od potu kaftany przejmowały ich zimnem aż do kości, śnieg zamarzał na wierzchnich okryciach, które robiły się ciężkie i sztywne. Twarze ich paliły, później w ogóle przestali cokolwiek czuć. Nagle w pamięci Toraka pojawiło się coś, co powiedział Wędrowiec. Najpierw jest wam zimno, a później nie... Co było potem?

Renn ciągnęła go za rękaw i pokazywała na niebo. Zatoczył się.

Od północy nadciągały purpurowoszare chmury przewracające się i gotujące jak w kotle.

–Burza! – krzyknęła Renn. – Trzymajmy się razem! Wyciągnęła z plecaka zwój liny skręconej ze skór.

Kiedyś już się znaleźli w burzy śnieżnej i wiedzieli, jak łatwo się zgubić.

–Musimy wykopać jamę! – wrzeszczała Renn, próbując zawiązać koniec zmarznietej liny wokół pasa.

–Gdzie? – odkrzyknął Torak, niezgrabnie wiążąc swój koniec. Teren znów był płaski.

–W dół! – krzyknęła. – Musimy kopać w dół. Wykopać jamę! Zaczęła tupać nogami, by się zorientować, gdzie śnieg jest twardszy, i nagle grunt się

pod nią załamał. Renn zniknęła.

–Renn! – krzyknął Torak. Obwiązana wokół jego pasa lina naprężyła się, ciągnąc go gwałtownie do przodu.

Zaparł się i wbił pięty w śnieg. Nic nie widział, wokół było tylko kłębowisko białego pyłu, ale czuł na końcu liny ciężar, który ciągnął go w dół.

Opierając się i ślizgając, jechał powolutku do przodu, aż wreszcie kilka kroków dalej upadł na coś, co wyglądało jak sterta zmarzniętych kawałków śnieżnej skorupy.

Sterta poruszyła się. To była Renn. Usiedli wstrząśnięci, ale cali.

Wyciągając szyję, Torak zobaczył, że zjechali z nawisu. Nie zdając sobie z tego sprawy, szli po jego kruchej krawędzi, a pod nogami mieli tylko powietrze. Dla Renn była to ostatnia strzała, która powala tura.

–Już nie mogę – płakała, bijąc pięściami w śnieg.

–Musimy wykopać jamę! – krzyknął Torak. Wiedział jednak, że sytuacja jest beznadziejna. Prawie nie miał sił unieść toporka.

W ostatnim dzikim wybuchu dumy podniósł się niepewnie na nogi i krzyknął na wiatr:

–Dobrze, wygrałeś! Przepraszam! Już nie będę więcej latał! Nie gniewaj się, przepraszam!

Wiatr wył jak opętany. Potworne kształty leciały na Toraka przez śnieg. Sunęła nań wirująca kolumna, która po chwili rozbiła się na kawałki...

Nagle wydało mu się, że śnieg nie rozwiewa się na wszystkie strony, ale skupia w jednym miejscu. Tysiące maleńkich płatków spotyka się, zbiega, zespala, tworząc postać, jakiej nigdy jeszcze nie widział. Wpatrywała się w niego intensywnie oczami sowy i leciała w jego kierunku przez biel. Przed nią pędziła sfera milczących psów.

Torak był zbyt wyczerpany, żeby się bać. Już po wszystkim, pomyślał, nie czując lęku, obojętny na wszystko. Wybacz mi, Wilku. Wybacz, że nie zdołałem cię ocalić. Upadł na kolana, a postać z oczami sowy pochyliła się nad nim.

Stwór z oczami sowy wydał głośne polecenie i psy zwolniły, a po chwili stanęły. Wyciągnął długi, zakrzywiony nóż i z zadziwiającą szybkością zaczął kopać w śniegu jamę. Kilka chwil później złapał Toraka i Renn i wrzucił ich do środka, a górny otwór zakryła ściana śniegu. Wycie wiatru ucichło i nagle usłyszeli własne oddechy, bardzo głośne w ciemności. Rozległo się skrzypienie zamrożonej zwierzęcej skóry, Torak zwierzył przenikliwy, dziwnie znajomy zapach. Nie widział Renn – stwór wskoczył pomiędzy nich – ale był zbyt zmęczony, żeby się tym przejąć.

O dziwo, już nie było mu zimno, było mu wręcz gorąco. Najpierw jest ci zimno, później już nie, potem jest ci gorąco, a na końcu umierasz, pomyślał.

Śmierć nawet mu się spodobała. Była cudownie ciepła i miękka, jak futro wielkiego białego renifera. Miał ochotę ją sobie naciągnąć na głowę i szczelnie się nią owinąć.

Coś nim potrząsało. Jęknął. Oczy sowy patrzyły w jego oczy, wrywając go z objęć cudownie ciepłej śmierci. Rozpoznawał w półmroku brzeg ośnieżonego futra, który otaczał czerwoną od mrozu okrągłą twarz o płaskim nosie. Torak zauważył też ciemny tatuaż, którego nie rozpoznawał. Chciał tylko wrócić w objęcia śmierci.

Stworzenie warknęło. Po chwili zdjęło oczy.

Torak zorientował się, że te sowie oczy to w rzeczywistości cienkie kościane kółka, przymocowane do paska skóry. Prawdziwe oczy mężczyzny były skośne, dzięki czemu nie oślepiła go jasność. Szybkim ruchem nieznajomy odsunął rękaw kurtki, wyjął łupkowy nóż i naciął żyłę na swym potężnym, brązowym przedramieniu.

–Pij – szcęknął, przyciskając ranę do ust Toraka. Torak poczuł na języku słodko-słone ciepło. Kaszlnął i połknął krew. Siła i ciepło zaczęły krążyć po jego ciele – prawdziwe ciepło, a nie fałszywe gorąco odmrożenia. Wraz z nim przyszedł ból. Czuł, że twarz mu płonie. Wszystkie jego kości i stawy kłuły piekące igielki. W ciemności usłyszał głos Renn:

–Zostaw mnie! Ja chcę spać!

Teraz mężczyzna coś przeżuwał. Wypluł szary kęs na dłoń i wepchnął go Torakowi między zęby.

–Jedz!

Strzęp był śmierdzący i oleisty, ale Torak rozpoznał smak. Focze sadło. Było wspaniałe.

Mężczyzna posmarował twarz Toraka innym kawałkiem przeżutego sadła. Najpierw bolało – wewnątrz dłoni mężczyzny było twarde jak granitowa skała – ale zadziwiająco szybko ból ustąpił i Torak czuł tylko pulsowanie pod skórą.

–Kim jesteś? – wymamrotał.

–Później – mruknął mężczyzna. – Kiedy wiatr przestanie już się gniewać.

–Jak długo jeszcze? – spytała Renn.

–Jeden sen, wiele snów, kto wie? Teraz już nie gadajcie!

r?

Torak miał dwanaście wiosen, a Tata nie żył już prawie pół księżyca.

Torak właśnie zabił swojego pierwszego jelonka, nie chce, żeby Wilk mu przeszkadzał przy ściąganiu skóry, więc daje mu kopyta. Mały wilczek, znudzony zabawą kopytami, podbiega, żeby wsadzić pysk w to, co robi Torak.

Torak myje wnętrzności jelenia w strumieniu. Wilk chwyta drugi koniec w zęby i ciągnie. Torak przeciąga je na swoją stronę. Wilk zapiera się przednimi łapami i merda ogonem. Zabawa! Torak się uśmiecha, ale po chwili przygryza wargi.

–Nie, to nie jest zabawa.

Wilk się upiera. Torak mówi do niego zdecydowanie w wilczym języku, żeby puścił, i wilczek tak szybko spełnia polecenie, że Torak wpada do wody. Wilk podskakuje i teraz obaj chlapią się wodą Torak się śmieje. Jego ojciec nie żyje, ale on już nie jest sam. Znalazł wilczego brata.

Kiedy staje na nogi, okazuje się, że strumień jest już zamarznięty. Zima chwyciła Las w swoje szpony. Wilk już wyrósł i biegnie między połyskującymi od szronu drzewami -biegnie z Tatą.

–Wracaj! – krzyczy Torak, ale północny wiatr unosi daleko jego głos. Wiatr jest tak silny, że Torak z trudem utrzymuje się na nogach, ale nie ma takiej mocy, by chociaż musnąć Wilka i Tatę. Żaden powiew nie porusza długich, czarnych włosów Taty, nie tarnosi srebrnego futra Wilka.

–Wracajcie! – krzyczy Torak. Oni go nie słyszą. Bezradny patrzy, jak obaj odchodzą gdzieś między drzewami.

Obudził się nagle, przestraszony. W piersiach czuł ból straty. Policzki miał sztywne od zamarzniętych łez. Leżał zwinięty w kłębek w śpiworze. Ubranie miał wilgotne od środka, było mu tak zimno, że nawet się nie trząsał. Usiadł i zobaczył, że już nie jest w jamie śnieżnej, ale w kopulastej budowlu zrobionej z bloków śniegu.

W kaganku z płaskiego kamienia płonął niskim, pomarańczowym płomieniem kawałek utłuczonego sadła. Nad nim wisiał foczy pęcherz, w którym topił się lód. Sądząc z ciszy panującej na zewnątrz, burza już przeszła. Dziwnego mężczyzny nie było.

–Miałam straszny sen – mruknęła Renn, leżąca obok Toraka. Jej twarz była cała w bąblach i strupach, pod oczami miała ciemne pręgi.

–Ja też – powiedział Torak. Twarz bolała go przy dotyku, bolała, gdy mówił. – Śniło mi się, że Wilk...

Do środka wszedł na kolanach dziwny mężczyzna. Był niewysoki i potężnie zbudowany, a w kurtce z foczej skóry wyglądał jeszcze potężniej. Zrzucił kaptur, ukazując płaską twarz okoloną krótkimi, ciemnymi włosami z grzywką nad brwiami. Jego oczy były skośnymi szparkami nieufności.

–Przyszlście z Dalekiego Południa – powiedział oskarżycielskim tonem.

–Jak się nazywasz? – odparł Torak.

–Inuktiluk. Z klanu Białego Lisa. Wysłano mnie, żebym was znalazł.

–Dlaczego? – spytała Renn. Człowiek z klanu Białego Lisa odrzucił głowę do tyłu.

–Tylko spójrzcie na siebie! Odzież macie całą przemoczoną! Nie wiecie, że człowieka zabija nie śnieg, ale wilgoć? Trzymajcie. Wyskakujcie z ubrań i wólcie to. Rzucił im dwie wiązki zwierzęcych skór.

Było im tak zimno, że się nie spierali. Nogi i ręce mieli sztywne jak gałęzie, rozbierali się z trudem. Skóry okazały się śpiworami ze srebrzystego futra foki, podbitymi miękką ptasią skórą, bo w środku czuli puch i piórka. Były tak ciepłe, że od razu poczuli się lepiej, ale Torak z niepokojem zauważył, że człowiek z klanu Białego Lisa zniknął, zabierając ze sobą ich ubrania. Teraz byli całkowicie w jego władzy.

–Zostawił nam coś do jedzenia – powiedziała Renn. Powąchała skrawek zamrożonego foczego mięsa.

Nie wychodząc ze śpiwora, Torak podczołgał się do ściany i wyjrzał przez szczelinę.

To, co wziął za sklepienie śnieżnej jamy, w której spędzili noc, w rzeczywistości było olbrzymimi saniami, które teraz stały na sztorc. Ich płozy zrobiono ze szczęk wieloryba, a poprzeczki z rogów renifera. Splątana uprząż tworzyła niewielki biały wzgórek, a dalej jeszcze pięć innych wzgórków. Ze wszystkich unosiły się cienkie strużki pary.

Inuktiluk gwizdnął i wzgórkę rozpadły się, zamieniając w sześć sporych psów. Psy ziewały i machały ogonami, otrząsając się ze śniegu, a Inuktiluk odpychał ich nosy, prostując i rozplątując uprząż, sprawdzając, czy ostre bryłki lodu nie poraniły im łap.

Renn paznokciem wydobyła spomiędzy zębów skrawek mięsa.

–Wędrowiec mówił, że „Lisy” powiedzą nam, jak znaleźć „Oko Żmii”. Może miał na myśli Białe Lisy?

Torak też o tym myślał.

–Czy możemy podjąć takie ryzyko? – spytał. Chciał zaufać Inuktilukowi, ale doświadczenie nauczyło go, że człowiek może robić różne miłe rzeczy, a w piersi skrywać przegniłe serce.

–Masz rację – powiedziała Renn. – Nic mu nie powiemy, dopóki się nie przekonamy, że można mu zaufać.

Inuktiluk wyrzucił ich ubrania na drugą stronę i rozłożył na saniach. Zamarzały natychmiast, a on zbijał z nich lód płazem swojego noża śnieżnego. Później poszedł po mięso i rzucił je psom. Było pięć dorosłych i szczeniak, nie starszy niż pięć księżyców. Na łapach, których poduszki jeszcze nie zdążyły stwardnieć, miał buciki z surowej skóry i piszczął z radości, kiedy Inuktiluk przewrócił go na grzbiet, by sprawdzić, czy owijacze są dobrze zawiązane.

Torak pomyślał o Wilku i powrócił do niego sen, przyćmiewający mrocznym światłem jego dusze. Opowiedział o tym Renn.

–Wilk był z Tata, a Tata nie żyje – rzekł na koniec. – Może więc duch Taty przysłał mi ten sen? Czy chce mi powiedzieć, że Wilk też nie żyje?

–A może to nie duch twojego ojca śnił o tobie, ale duch Wilka? – powiedziała Renn. – Może prosi cię o pomoc?

–Ale przecież musiałyby wiedzieć, że za nim idziemy. Renn miała nieszczęśliwą minę.

Torak zastanawiał się, czy nadszedł już czas, żeby jej powiedzieć o Pożeraczach Dusz, kiedy wrócił Inuktiluk.

–Ubierajcie się – polecił surowo. Ich ubrania były suchsze, ale wciąż nieznośnie zimne. Wcale nie pomagało też, że

Inuktiluk przyglądał się im z nieskrywaną dezaprobatą.

–Jesteście zdecydowanie za chudzi. Żeby przetrwać na lodzie, musicie być tłuści! Nawet tego nie wiecie? Wszystko na północy jest tłuste! Foki, niedźwiedzie, ludzie!

Później zapytał o ich imiona. Spojrzeli na siebie. Renn powiedziała mu, jakie mają imiona i z jakich klanów pochodzą. Inuktiluk był chyba zdziwiony, kiedy się dowiedział, że Torak jest z klanu Wilka.

–To jeszcze gorzej – wymamrotał.

–Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Torak. Inuktiluk zmarszczył brwi.

–Tutaj nie będziemy o tym rozmawiać.

–Chyba musimy – powiedział Torak. – Ocaliłeś nam życie i jesteśmy wdzięczni. Proszę, powiedz nam, dlaczego nas szukałeś?

Człowiek z klanu Białego Lisa zawahał się.

–Powiem wam – rzekł po chwili. – Trzy sny temu jedna ze starszych naszego klanu weszła w trans, żeby przyglądać się nocnym ogniom na niebie, a duchy Zmarłych przekazały jej wizję. Widziała dziewczynkę z czerwonymi wierzbowymi włosami, wyglądającą jak Duch Świata zimą, widziała chłopca z oczami wilka –

zamilkł. – Ten chłopiec miał wyrządzić wiele zła. Dlatego właśnie musiałem was znaleźć. Żeby ludziom lodu nie robił więcej krzywdy.

–Nie zrobiłem nic złego – zapewnił gorąco Torak. Inuktiluk go nie słuchał.

–Kim jesteście? Co tu robicie? Przecież to nie wasze tereny. Kiedy nie odpowiadali, zwinął śpiwory i ruszył na zewnątrz.

–Wetrzyjcie sobie jeszcze sadła w skórę twarzy i przynieście lampę. Jedziemy.

–Dokąd? – spytali jednocześnie Torak i Renn.

–Do naszego obozowiska.

–Po co? – spytała Renn. – Dlaczego nam to robisz? Inuktiluk wyglądał na obrażonego.

–Nie zrobimy wam krzywdy, my tak nie postępujemy. Damy wam tylko lepsze ubrania i wyślemy do domu.

–Nie możecie nas zmusić, żebyśmy wrócili – powiedział Torak. Ku jego zdziwieniu Inuktiluk wybuchnął śmiechem.

–Oczywiście, że mogę was do tego zmusić! Wszystkie wasze rzeczy mam na swoich saniach!

Słyszając to, zrozumieli, że nie mają wyboru. Wyszli za nim na zewnątrz.

Inuktiluk założył już na twarz okulary w kształcie oczu sowy. Rzucił każdemu z nich po parze. Następnie wyciągnął gruby bicz ze skóry, długi na dwadzieścia kroków, a psy natychmiast zaczęły wyć i machać ogonami, gotowe do drogi.

–Dlaczego sanie są skierowane na zachód? – spytała niepewnie Renn.

–Bo tam jest nasze obozowisko – odparł Inuktiluk. – Na Morzu Lodowym, tam, gdzie mieszkają foki.

–Na zachód? – krzyknął Torak. – Ale my musimy iść na północ! Inuktiluk odwrócił się do nich.

–Na północ? Dzieci, które nie wiedzą nic o lodzie? Nie przeżylibyście jednego dnia! Teraz wskakujcie na sanie.

Północny wiatr wiał nad białymi wzgórzami, uderzając niemiłosiernie w przytulone do ziemi sosenki na płaskowyżu. Leciał ze świstem przez zachodnie połączenie Lasu i podrywał w górę śnieg na brzegach rzeki Rękojeści Topora, gdzie obozował klan Kruków. Z pewnością obudziłby Fin-Kedinna, ale Fin-Kedinn już nie spał. Od kiedy Wierzby przekazały mu wiadomość od Toraka, prawie w ogóle nie mógł spać. Ktoś porwał Wilka. Chcemy go odzyskać. – Tak popędzić zupełnie bezmyślnie... – powiedział wódz klanu Kruka. Patykiem dźgnął ognisko, oświetlające jasno wejście do szałasów. – Dlaczego nie wrócili i nie poprosili o pomoc? – Cemu dziewczyna nie wróciła? – spytała Saeunn swoim gardłowym, kruczym głosem. Nie mrużąc powiek, wytrzymała spojrzenie wodza, pełne czystej, błękitnej wściekłości. Była jedyną członkinią klanu, która ośmielała się stawiać mu czoło. Siedzieli w milczeniu, a nad ich głowami wiatr robił, co mógł, żeby obudzić Las.

Szamanka klanu poprawiła szatę na kościstych kolanach i wyciągnęła do ognia pokurczone, szponiaste dłonie. Fin-Kedinn raz jeszcze dźgnął patykiem ognisko, a pies, który

właśnie się zastanawiał, czy nie wśliznąć się do środka, położył uszy po sobie i

truchtem odbiegł na bok, żeby poszukać innego schronienia.

–Nie sądziłem, że będzie tak lekkomyślny – powiedział Fin-Kedinn. – Żeby się wypuszczać tak daleko na północ!

–Skąd wiesz, że zapuścił się na Daleką Północ? – spytała Saeunn. Zawahał się.

–Grupa myśliwych z klanu Pardwy widziała ich z daleka. Mówili mi o tym dzisiaj rano.

Zamyślona Saeunn delikatnie dotykała paznokciem spiralnego amuletu. Amulet miał ostrą krawędź i był żółty jak róg.

–Chcesz ruszyć na poszukiwania. Chcesz znaleźć córkę swojego brata i sprowadzić ją do domu.

Starszy Kruków gładził dłonią ciemnorudą brodę.

–Nie mogę ryzykować bezpieczeństwa klanu, prowadząc wszystkich na Daleką Północ.

Saeunn przyglądała mu się z chłodną obojętnością kogoś, kto nigdy nie czuł miłości dla żadnego żywego stworzenia.

–Jednak chcesz.

–Właśnie ci powiedziałem, że nie mogę. Fin-Kedinn odrzucił kij i z trudem powściągnął grymas bólu. Wiatr obudził ból w starej ranie na udzie.

–To skończ z tym – rzuciła Saeunn, wzruszając ramionami jak kruk, który rozpościera skrzydła. – Dziewczynka pokazała, że ma własną wolę i że jest uparta. Ja nic więcej z nią zrobić nie mogę. Co do chłopca, to pozwolił swoim uczuciom – jej usta o cienkich wargach wydeły się pogardliwie – poprowadzić się w tamtą stronę.

–Ma trzynaście wiosen – powiedział Fin-Kedinn.

–Ma swoje przeznaczenie – odparła chłodno Szamanka. – Jego życie nie należy do niego, nie ma prawa ryzykować go dla przyjaciela. Jeszcze tego nie rozumie, ale kiedyś to do niego dotrze. Kiedy nie uda mu się znaleźć Wilka, wróci i będziesz mógł ich oboje ukarać.

Fin-Kedinn patrzył w żarzące się węgielki.

–Chciałem go przygarnąć – wyznał. – Powinienem być mu powiedzieć. Może to by coś zmieniło? Może wtedy poprosiłby mnie o pomoc?

Saeunn splunęła w ogień.

–Po co się tym martwisz? Niech idzie! Niech idzie i szuka tego swojego Wilka.

Wilk jest teraz w innym Teraz, w którym chodzi w swoich snach. Może skakać dalej i szybciej niż najszybszy jelen, umie sam powalić tura, kiedy się jednak budzi, jest głodny, jakby niczego nie zabił. Tym razem znów jest małym wilczkiem. Jest mu zimno i mokro, jego matka i ojciec oraz wilczy bracia leżą cicho i Bez Oddechu w błocie. Uczyniła to Szybka Wilgoć. Nadleciała, rycząc, gdy Wilk szukał czegoś na wzgórzu.

Podnosi pysk i wyje.

Po drugiej stronie Szybkiej Wilgoci czuje nadchodzącego wilka, wilk przychodzi mu na ratunek!

Wilk rzuca się do szalonego powitania. Po chwili jego powitanie zamienia się w zdziwienie. To taki dziwny wilk. Pachnie jak na wpół dorosły samiec, ale ma na sobie

zapach innych stworzeń, chodzi na zadnich łapach i nie ma ogona). Ma jednak jasne, rozświetlone oczy wilka i coś w jego duchu woła do wilczej duszy. Odnalazł nowego wilczego brata. Wilczego brata, który go nigdy nie opuści... Wilk budzi się nagle.

Teraz znów jest na ślizgającym się drzewie, ściśnięty pod znieawidzoną, pełną otworów skórą jelenia, podskakując nad powierzchnią Jasnego Miękkiego Chłodu. Tęskni za innym Teraz, w którym znów był małym wilczkiem ratowanym przez Wysokiego Bezogona.

Boli go łeb, zwymiotował podczas snu, ale nie mógł się ruszyć, żeby się do czysta wylizać. Boli go zraniona łapa. Jeszcze bardziej boli go przydepnięty ogon.

Śmierzące Futro przyszła i podetknęła mu jeszcze jeden kawałek mięsa, który zignorował. Szli wciąż dalej i dalej, podczas gdy Światło się schowało, a Jasny Miękki Chłód powoli opadał i płynął z Góry.

Po chwili Wilk zwietrzył, że dotarli na teren łowiecki stada jakichś dziwnych wilków. To oznaczało niebezpieczeństwo.

Olbrzymi samiec o jasnej sierści wyruszył sam i w sercu Wilka zrodziła się nadzieja. Może Jasna Sierść będzie na tyle głupi, żeby zaatakować te dziwne wilki, one się będą bronić, a on zginie!

Znacznie później Jasna Sierść wrócił, i to w dodatku nietknięty. Miał na ustach ten straszliwy uśmiech, niósł Małe Legowisko ze skóry jelenia, które szarpało się i warczało. Wilk zwietrzył kwaśną furię wilczycy. Wilczycy? Co to mogło oznaczać?

Długo nie mógł jednak o tym myśleć, znów poczuł się zmęczony i zapadł w głęboki sen.

Zahuczwała olbrzymia sowa, a on się obudził. Nie wiedząc, dlaczego tak jest, poczuł, że sierść mu się jeży ze strachu.

Sowa zamilkła. To było jeszcze gorsze.

Wilk był teraz całkiem rozbudzony.

Gdy spał, nadeszła Ciemność, a ślizgające się drzewo zatrzymało się. Ten zły bezogon był kilka kroków od niego, kucał przy Jasnej-Bestii-która-Kąsa-Gorąco. Wilk przeczuwał, że na coś czekają. Na coś złego.

Wokół niego rozciągał się obcy, dziwny, biały i znieruchomiały krajobraz. Zwietrzył zająca podgryzającego pędy wierzby wiele skoków stąd. Słyszał cichutkie szuranie lemingów w ich legowiskach i szum Białego Miękkiego Chłodu, który padał, padał i padał.

Później poprzez Ciemność usłyszał zbliżanie się bezogona. Z radosnym niepokojem wystawił pazury. Czy to Wysoki Bezogon, który przychodzi, by go uratować?

Wkrótce jego nadzieja runęła jak zwalone wiatrem spróchniałe drzewo. To nie był jego wilczy brat. To była samica, którą Wilk już wcześniej zwietrzył. Wiedział, że należy do tego złego stada, bo zobaczył, jak inni wstają na zadnie łapy i czekają. Czuł ich lęk, kiedy ona szła, szybując przez szumiącą biel.

Była wysoka i bardzo chuda, a jasna sierść zwiślała jej z głowy na ramiona jak robactwo. Jej głos przypominał grzechotanie suchych kości, a zapach pochodził z Bez-Oddechu.

Pozostali pozdrowili ją cicho w mowie bezogonów i mimo że próbowali to ukrywać, Wilk wyczuwał ich lęk. Nawet Jasna Sierść się bał. Wilk też się bał.

Teraz się odwróciła i podeszła do niego.

Skulił się. Nawet jego dusza skuliła się przed jej duszą.

Podeszła bliżej. Próbował nie patrzeć, skierować wzrok gdzieś obok, ale na próżno. Było coś strasznie złego w jej twarzy. Ta twarz była nieruchoma jak kamień. W ogóle się nie

poruszała, nawet pysk jej się nie poruszał, kiedy mówiła. A jej oczy to nie były oczy, tylko otwory.

Wilk zawarczał i próbował się odsunąć, ale skóra jelenia trzymała go mocno.

Teraz samica pochylała się nad nim, a jej zapach Bez-Oddechu ściągał go w dół, w czarną mgłę samotności i straty.

Powoli zbliżyła przednią łapę do jego pyska. Coś w niej trzymała. Nie widział co, ale zwiertzył zapach tego czegoś – wcześniej leżało długo i głęboko pod ziemią. Przez jej blade ciało zobaczył kątem oka szare światło i wiedział, z dziwną pewnością, która czasami go nachodziła, że to, co samica trzyma, gryzie tak samo mocno jak Jasna-Bestia-która-Kąsa-Gorąco. To coś kąsało jednak chłodem.

Jego warczenie przeszło w przerażony skowyt. Zacisnął powieki i próbował myśleć o Wysokim Bezogonie, który bieży na ratunek przez Jasny Miękki Chłód – przychodzi po niego tak jak kiedyś, kiedy Wilk był małym wilczkiem.

Sanie Inuktiluka sunęły na zachód, wioząc Toraka i Renn w złą stronę. Słysząc było jedynie sapanie psów i zgrzyt płóz na zmarzniętym śniegu, od czasu do czasu zaś zaleźnione westchnienie Renn, kiedy sanie podskakiwały na wzniesieniu, a ona musiała się mocno przytrzymać, żeby nie spaść. -Nie da się nas pilnować cały czas – powiedział Torak do Inuktiluka, kiedy zatrzymali się na postój przy rozległym, zamarzniętym jeziorze. – Prędzej czy później odejdziemy.

–Dokąd będzie poszli? – odparł Inuktiluk. – Nigdy nie dotrzecie na północ, nigdy nie uda wam się obejść Lodowej Rzeki.

Spojrzeni na niego oboje.

–Co to jest Lodowa Rzeka?

–Leży mniej więcej jeden sen stąd. Nikt z klanów Lodu, kto próbował ją przekroczyć, nie wrócił żywy.

Torak zacisnął zęby.

–Kiedyś już przekraczaliśmy rzekę z lodu.

–Ale nie taką – prychnął Inuktiluk.

–No to ją obejdziemy – powiedziała Renn. Inuktiluk wyrzucił w górę ramiona. Gwizdnął na psa przewodnika i spojrzał na drugą stronę jeziora.

–Teraz idziemy pieszo – powiedział. – Idźcie za mną i róbcie dokładnie to, co powiem. Przygnębieni ruszyli za nim i wkrótce całkowicie pochłonęło ich trudne zadanie

utrzymania równowagi, by nie padać co chwilę na śnieg.

–Trzymajcie się białego lodu! – zawołał Inuktiluk.

–A co z tym szarym? – spytała Renn, widząc plamę szarości po prawej stronie.

–To jest świeży lód. Bardzo niebezpieczny! Jeżeli będziecie już musieli przez niego przechodzić, idźcie daleko od siebie i nie przystawajcie.

Torak i Renn spojrzeli na siebie i zwiększyli dystans.

Nawet biały lód, wypolerowany wiatrem, był zdradliwy i śliski, musieli więc zwolnić tempo marszu, niepewnie szurając nogami. Mieli wrażenie, że wysokie buty Inuktiluka trzymają się lodu, jakby miały pazury, pozwalając mu iść długimi krokami. Najlepiej radziły sobie psy wczepiające się w powierzchnię lodu ostrymi pazurami, tylko szczeniak ślizgał się i zataczał w butach z foczej skóry. Torak przypominał sobie Wilka, i były to bolesne wspomnienia. Gdy był małym szczeniakiem, zawsze przewracał się o własne łapy.

–Czy to jezioro jest głębokie? – spytała Renn. Inuktiluk zaśmiał się.

–To bez znaczenia. Zimno może was zabić, zanim zdążycie krzyknąć: „Pomocy!” Poczuli wielką ulgę, kiedy w końcu dotarli do brzegu i weszli na twardy śnieg. Gdy Inuktiluk sprawdzał psom łapy, Torak wziął Renn na bok.

–Tam dalej jest się gdzie ukryć – szepnął. – Może uda nam się uciec!

–Dokąd pójdziemy? – odpowiedziała pytaniem. – Jak obejdziemy Lodową Rzekę? Jak znajdziemy Oko Żmii? Toraku, przyznaj wreszcie, że my go potrzebujemy!

Coraz trudniej było iść przez teren najeżony uskokami i ostrymi krawędziami lodu. Żeby pomóc psom, zeskakiwali z sań i wspinali się na zbocza, a wskakiwali na nie z powrotem, kiedy ślizgiem jechały w dół, podczas gdy Inuktiluk spowalniał ich bieg, ryjąc w śniegu ostrymi końcami jelenich rogów, które służyły za hamulec.

Zimno wysysało z nich siły, ale człowiek z klanu Białego Lisa był niestrudzony. Widać było, że kocha ten dziwny, lodowaty świat i martwi się, że tak mało o nim wiedzą. Upierał się, żeby często pili, nawet jeśli nie czuli się spragnieni, i kazał im nosić pod kurtkami

skórzane bukłaczki z wodą, żeby nie zamarzała. Powiedział też, że powinni rozsądnie podzielić sadło, które jedli i którym smarowali sobie twarze.

–Będziecie go potrzebowali do topienia lodu – pouczał. – Pamiętajcie, że macie tylko tyle wody, ile sadła do topienia lodu!

Widząc ich zdziwione miny, westchnął.

–Jeżeli macie przeżyć, musicie postępować tak jak my. Kierować się tym, co robią stworzenia lodu. Pardwa wykopuje sobie schronienie w śniegu. My też. Gęś arktyczna wyklada gniazdo własnymi piórami. My używamy ich do szycia śpiworów. Jemy surowe mięso, jak śnieżny niedźwiedź. Pożyczamy sobie siłę i wytrzymałość renifera i foki, szyjąc z ich skór ubranie. Tak się postępuje, żyjąc w lodzie. – Popatrzył w niebo zmrużonymi oczyma. – Przede wszystkim zwracamy uwagę na wiatr, który rządzi naszym życiem.

Jak gdyby w odpowiedzi na jego słowa, wiatr zaczął wiać z północy. Torak poczuł na twarzy jego lodowaty dotyk i zrozumiał, że wiatr jeszcze nie ma dosyć.

Inuktiluk musiał odgadnąć jego myśli, bo wskazał na drugi brzeg jeziora, gdzie stała jedna z kamiennych postaci.

–Stawiamy je, żeby oddać mu cześć. Prędzej czy później wy też będziecie musieli złożyć ofiarę.

Torak był tym zmartwiony. Na dnje jego plecaka leżał błękitny nóż Taty zrobiony z łupku, a w jego woreczku z amuletami starty leczniczy róg jego matki. Nie wyobrażał sobie rozstania ani z jednym, ani z drugim.

Około południa dotarli do dziwnej krainy, w której olbrzymie kry lodowe kiwały się na wodzie jak szalone. Gdzieś z głębi dochodziły głuche jęki i echa potężnych pęknięć. Psy położyły uszy po sobie, a Inuktiluk mocno zacisnął dłoń na przyszytym do kurtki amulecie ze szponu orła.

–To jest lód wybrzeża – powiedział niskim głosem – gdzie lody lądu i morza walczą o zwycięstwo. Musimy przejść przez ten lód jak najszybciej.

Renn wyciągnęła szyję, wpatrując się w górujący nad nimi, szpiczasty, postrzępiony kawał lodu.

–Mam wrażenie, że tutaj są demony. Biały Lis spojrzał na nią ostro.

–To jest jedno z ich miejsc, gdzie demony Morza podchodzą blisko do zewnętrznej skóry naszego świata. Są niespokojne. Próbują się wyrwać.

–A mogą? – spytał Torak.

–Czasami któryś prześlizguje się przez szczelinę.

–Tak samo jest w Lesie – powiedziała Renn. – Szamani i czarownicy czuwają, ale kilku demonom zawsze udaje się wymknąć.

Inuktiluk skinął głową.

–Ta zima jest gorsza niż większość zim. W Ciemnym Czasie, kiedy słońce było martwe, demony oderwały olbrzymią wyspę lodu i wypchnęły ją na ląd. Roztrzaskała domostwo klanu Słonia Morskiego, zabijając wszystkich, którzy byli w środku. Jakiś czas temu inny demon wysłał chorobę, która zabrała dziecko kobiety z mojego klanu. Później jej starszy syn wyszedł na lód.

Szukaliśmy, ale nigdy go nie znaleźliśmy... – urwał. – Właśnie dlatego musimy odesłać was na południe. Przynosicie ze sobą zło.

–Nie przynosimy ze sobą zła – powiedział Torak.

–Myśmy je śledzili – powiedziała Renn.

–Powiedzcie mi, o co wam chodzi – polecił stanowczo Biały Lis. Milczeli. Torakowi było przykro, że nic nie odpowiedział, bo zaczynał lubić

Inuktiluka.

Parli naprzód przez góry połamanego lodu. W końcu lód przybrzeżny ustąpił bardziej płaskiemu, pobrużdżonemu lodowi Morza. Ku zdziwieniu Toraka Inuktiluk założył ramiona na piersi i odetchnął z ulgą.

–Aha! Lód morski. Znacznie lepiej! Torak nie mógł zrozumieć, co go tak cieszy. Miał wrażenie, że rozpościerający się

przed nim lód się ugina. Zdziwiony przyglądał się, jak jego powierzchnia delikatnie się unosi i opada, niby skóra jakiegoś ogromnego zwierzęcia.

–Tak – powiedział Inuktiluk – ugina się wraz z oddechem Matki Morze. Niedługo, gdy nadejdzie księżyc Ryczących Rzek i zacznie się topnienie lodów, to wszystko będzie jak wymarłe. Pojawią się olbrzymie pęknięcia. Nazywamy je pęknięciami przyływu. Mogą człowieka połknąć. Ale na razie świetnie się tu poluje.

–Poluje się, na co? – zapytał Torak. – Tam, na jeziorze, widziałem jeszcze jakieś

ślady, ale tu nic nie ma.

Po raz pierwszy Inuktiluk spojrział na niego z uznaniem.

–Zauważyłeś je więc? Nie sądziłem, że chłopak z Lasu coś dojrzy. – Pokazał ręką w dół. – Nasza zwierzyna jest pod lodem. Robimy to samo co śnieżne niedźwiedzie. Polujemy na foki.

Renn zadrżała.

–Czy białe niedźwiedzie jedzą ludzi?

–Wielki Wędrowiec je wszystko – odparł Inuktiluk, wbijając róg łosia w lód, żeby przywiązać psy. – Woli jednak foki. Jest najlepszym myśliwym ze wszystkich. Wyczuje fokę przez lód grubości ludzkiego ramienia.

–Dlaczego stanąłeś? – spytał Torak.

–Idę na polowanie – odparł Biały Lis.

–Nie możesz! Nie wolno się teraz zatrzymywać na polowanie!

–A co będziesz jeść? – spytał Inuktiluk. – Potrzebujemy sadła i mięsa dla psów! Zawstydzony Torak umilkł, ale serce płonęło mu z niecierpliwości. Już sześć dni minęło od czasu, kiedy porwano Wilka. Inuktiluk wyprzągnął psa prowadzącego i zaczął z nim powoli chodzić po lodzie. Wkrótce pies znalazł to, czego szukali.

–To otwór, przez który oddycha foka – powiedział cicho Inuktiluk. Był maleńki – niewysokie wzniesienie na śniegu przypominające kretowisko, z otworem na samej górze szerokim może na kciuk, okolone rowkami, bo foka podgryza lód, żeby się nie zasklepił.

Inuktiluk ściągnął z sań kawałek skóry renifera i położył ją futrem do dołu na lodzie, pod wiatr od otworu.

–Żeby stłumić odgłos kroków, tak jak futro na podszewkach łap niedźwiedzia. – Na środku otworu położył pióro łabędzia. – Tuż przed wynurzeniem się foka wypuszcza z płuc powietrze i piórko się porusza. Wtedy muszę działać bardzo szybko. Foka nabiera powietrza tylko kilka razy, a później znika.

Pokazał im gestem, żeby wrócili do sań.

–Muszę stać i czekać jak biały niedźwiedź, ale wy w tych ubraniach zamarzniecie. Schowajcie się w saniach przed wiatrem i nie ruszajcie się! Najłżejsze poruszenie będzie znakiem ostrzegawczym dla fok. – Ustawił się nieruchomo, z uniesionym harpunem.

Torak przykucnął przy saniach i zaczął rozplątywać rzemienie, którymi jego plecak był przywiązany do płóz.

–Co robisz? – szepnęła Renn.

–Zabieram się stąd. Idziesz ze mną? Renn zaczęła odwiązywać swój plecak. Znajdowali się za plecami Inuktiluka, mogli więc niepostrzeżenie zarzucić plecaki i śpiwory na plecy, ale kiedy wstali, odwrócił głowę. Nie poruszył się ani nic nie powiedział. Tylko patrzył.

Torak wytrzymał jego wzrok, ale tamten ani drgnął. Ten człowiek przeciął sobie żyłę, żeby ich uratować. Był myśliwym, tak jak oni. A oni mieli mu właśnie zepsuć polowanie.

–Nie możemy tego zrobić – powiedziała bezgłośnie Renn.

–Wiem – odparł Torak. Powolutku zdjęli plecaki. Inuktiluk odwrócił się od nich i utkwiał wzrok w otworze do oddychania. Nagle piórko drgnęło.

Z prędkością uderzającej w powierzchnię wody czapli Inuktiluk cisnął harpun. Grot harpuna wyprysnął z drzewca i wbił się razem z zadziorem w skórę foki. Jedną ręką Inuktiluk ciągnął linę przywiązaną do grotu, drugą drzewcem rozbrojonego harpuna powiększał dziurę do oddychania. Torak i Renn rzucili plecaki i pobiegli mu pomóc. Jedno potężne pociągnięcie i foka znalazła się na lodzie, zabita ciosem w głowę, zanim spadła na lód.

–Dzięki! – dyszał Inuktiluk. Pomogli mu odholować ociekające wodą srebrne ciało foki dalej od otworu w lodzie.

Psy szarpały wściekle, chcąc się dorwać do zdobyczy, ale Inuktiluk uciszył je jednym słowem. Wyjął grot harpuna z rany i zaszył ją kością o smukłym kształcie, którą nazwał „korkiem do ran”, żeby nie tracić krwi. Następnie przetoczył fokę na grzbiet i przechylił jej mordkę w kierunku dziury.

–Żeby wysłać jej duszę z powrotem do Matki Morze po to, by narodziła się jeszcze raz. – Zdjął rękawicę i pogładził jasny, cętkowany brzuch. – Dzięki, przyjaciółko. Niech Matka Morze da ci nowe, piękne ciało!

–My robimy to samo w Lesie – powiedziała Renn. Inuktiluk uśmiechnął się. Rozciąwszy skórę foki we właściwym miejscu, wsadził do środka dłoń i wyciągnął parującą, ciemnoczerwoną wątrobę.

Tuż za nimi rozległo się szczeknięcie i zobaczyli małego białego lisa siedzącego na lodzie. Był krótszy i tęższy niż rude lisy z Lasu i przyglądał się Inuktilukowi ciekawskimi, złotobrazowymi oczami.

Inuktiluk się uśmiechnął.

–Opiekun klanu chce swoją część! – Rzucił lisowi kawałek, zwierzę złapało go zgrabnie i połknęło za jednym razem.

Inuktiluk podał kawałki wątroby Torakowi i Renn. Była twarda i słodka, łatwo przechodziła przez gardło. Człowiek z klanu Białego Lisa rzucił płuca psom, ale Torak zauważył, że tylko je powąchały; miał wrażenie, że są zbyt niespokojne, żeby jeść.

–Mieliśmy szczęście – powiedział Inuktiluk z ustami pełnymi wątroby. – Czasem cały dzień czekam przy otworze, aż foka wyjdzie. – Uniósł brew. – Zastanawiam się, czy mielibyście tyle cierpliwości, żeby tak długo czekać.

Torak pomyślał przez chwilę.

–Chcę ci coś powiedzieć – przerwał, a Renn kiwnęła głową. – Przyszliśmy na północ, żeby znaleźć naszego przyjaciela – mówił dalej. – Proszę, musisz nas puścić.

–Wiem, że macie dobre zamiary. Ale musicie mnie zrozumieć, nie wolno mi tego zrobić – westchnął Inuktiluk.

–Dlaczego? – spytała Renn.

Po drugiej stronie sań psy wyły i szarpały się w uprzęży. Torak podszedł, żeby zobaczyć, co się dzieje.

–O co chodzi? – spytała Renn.

Nie odpowiedział. Próbował zrozumieć mowę psów. W porównaniu z mową wilków

była znacznie prostsza, jak mowa małych zwierząt.

–Coś zwietrzyły – powiedział – ale wiatr wieje ze wszystkich stron, nie są więc pewne, co to jest.

–Co zwietrzyły? – spytała Renn, sięgając po łuk. Inuktilukowi opadła szczęka.

–Czy ty... Czy on je rozumie?

Torak nie zdążył odpowiedzieć. Krawędź lodu po jego lewej stronie nagle się uniosła i zamieniła w olbrzymiego białego niedźwiedzia.

Zffit

Biały śnieżny niedźwiedź uniósł łeb na długiej szyi, zwietrzył zapach Toraka i posmakował go powoli. Potężnym ruchem odepchnął się od śniegu i bez wysiłku stanął na tylnych łapach. Był wyższy niż wysoki mężczyzna stojący na ramionach jeszcze jednego mężczyzny, każda jego łapa była wielkości głowy Toraka. Jedno pacnięcie mogło zmiażdżyć mu kręgosłup jak wierzbową gałązkę.

Kołysząc się z boku na bok, niedźwiedź zmrużył nieprzeniknione czarne oczy i zawęszył. Zobaczył Toraka stojącego samotnie na lodzie, Renn i Inuktiluk uciekali, żeby się

schować za saniami. Zwietrzył krew na śniegu tuż za nimi i na wpół rozcięte ciało foki. Usłyszał psy wyjące i ciągnące uprząż w głupiej żądzy ataku. Obejrzał sobie to wszystko niespiesznie, jak stworzenie, które nigdy nie zaznało strachu. W jego łapach była siła zimy, a w potężnych pazurach okrucieństwo wiatru. Był niezwykły.

Torakowi krew łomotała w uszach. Sanie były o dziesięć kroków przed nim. Ale mogły być i o sto, i tak by to nic nie zmieniło.

Niedźwiedź w ciszy opadł na cztery łapy, a przez jego grube, żółtobiałe futro przemknęła niewielka fala.

–Nie biegnij – powiedział Inuktiluk do Toraka cichym głosem. – Idź krok za krokiem. W naszym kierunku. Bokiem. Nie pokazuj mu pleców.

Kątem oka Torak zauważył, że Renn zakłada strzałę na cięciwę łuku, a Inuktiluk w obu dłoniach trzyma grot harpuna.

Nie biegnij.

Ale nogi aż rwały się do biegu. Był z powrotem w Lesie, biegł, uciekał od ruiny schronienia, w którym leżał jego umierający ojciec, uciekał przed demonem w postaci niedźwiedzia. Torak! – krzyknął Tata ostatnim tchnieniem. Biegnij!

Przywołując resztki siły i woli ducha, Torak zrobił niepewny krok w kierunku sań.

Śnieżny niedźwiedź opuścił łeb i utkwiał w nim spojrzenie. Później leniwie, bokiem, ruszył wprost między niego i sanie.

Torak się zawahał.

Kroki śnieżnego niedźwiedzia były bezgłośnie, stąpał jak duch. Nie było słyhać nawet uderzenia pazurów o lód. Nawet oddechu.

Prawie nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Torak zdjął rękawiczkę i poszukał noża. Nóż nie chciał się wysunąć z pochwy. Pociągnął mocniej. Znów nic. Powinien był posłuchać rady Inuktiluka i trzymać go pod kurtką. Skórzana pochwa była zamarznięta na kamień.

–Torak! – zawołał cicho Inuktiluk. – Łap! Łukiem poleciał w jego kierunku harpun, a Torak go chwycił. Delikatny grot z cienkiej kości wyglądał strasznie krucho.

–Przyda mi się na coś? – spytał.

–Nie na wiele. Ale przynajmniej umrzesz jak mężczyzna. Śnieżny niedźwiedź wydał z siebie syczący odgłos i Torak zobaczył błysk jego żółtych kłów. Przerazenie skrępowało go jak stalowe więzy i zrozumiał, że harpun to był błąd. Tego niedźwiedzia nie da się przestraszyć, ale można go sprowokować do ataku.

Kątem oka dojrzał jakiś ruch. To Renn zsuwała na czoło okulary z cienkiej kości, żeby wycelować.

–Nie rób tego – ostrzegł ją. – Tylko wszystko pogorszysz. Zorientowała się, że Torak ma rację, i opuściła łuk. Strzała nadal była jednak oparta na cięciwie, gotowa do wypuszczenia.

Psy szczekały i gryzły uprząż. Niedźwiedź odwrócił łeb na długiej szyi i ryknął. Głęboki, odbijający się echem grom wstrząsnął lodem.

Niedźwiedź spojrział w oczy Toraka i chłopiec poczuł, że jego świat się rozpada. Nie słyszał psów, nie widział Renn ani Inuktiluka, nie mógł nawet mrugnąć powieką. Nie istniało nic oprócz tych ślepi, czarniejszych niż bazalt, silniejszych niż nienawiść. Kiedy w nie patrzył, wiedział – wiedział – że dla śnieżnego niedźwiedzia wszystkie inne stworzenia są tylko zwierzyną łowną.

Dłoń zaciśnięta na harpunie była mokra od potu. Torak nie był w stanie poruszyć nawet palcem.

Niedźwiedź kłapnął olbrzymimi szczękami i uderzył łapą w lód. Siła tego uderzenia zatrzęsała Torakiem. Jakoś jednak udało mu się utrzymać na nogach. Nie cofnął się ani o krok.

Niedźwiedź leśny warczy, jeżeli chce komuś zagrozić, ale jeżeli naprawdę poluje, zbliża się w śmiertelnej ciszy. Czy tak samo zachowuje się niedźwiedź śnieżny?

Nie.

Niedźwiedź śnieżny skoczył.

Torak zobaczył pociętą szramami, czarną skórę jego pyska, długi, fioletowoszary ozór. Poczuł gorący oddech na szyi... Ze straszliwą zręcznością niedźwiedź obrócił się, stanął na tylnych łapach, a przednimi uderzył w lód. Pod Torakiem ugięły się kolana i prawie upadł.

Teraz niedźwiedź kierował się ku niemu; odtrącił sanie, bo stały mu na drodze, a zrobił to z taką łatwością, jakby to był kawałek brzozy kory. Inuktiluk zanurkował w jedną stronę, Renn skoczyła w drugą, ale sanie spadając na śnieg, uderzyły ją w ramię i dziewczyna przewróciła się z krzykiem. Płoza przygniotła jej rękę i Renn była teraz dokładnie na trasie niedźwiedzia.

Torak rzucił się do przodu, machając harpunem i krzycząc:

–Tu jestem! Nie ją, mnie! Mnie! Inuktiluk również krzyczał i wymachiwał harpunem, a w chwili, kiedy niedźwiedź

odwrócił się w jego kierunku, Torak ściągnął sanie z Renn i chwycił ją za ramię, ściągając z drogi bestii. W tym momencie jeden z psów przegryzł uprząż i rzucił się

na niedźwiedzia. Olbrzymia łapa uderzyła go niczym deska w powietrzu, zwierzę przeleciało sporą odległość i

wylądowało na lodzie. Dał się słyszeć nieprzyjemny odgłos uderzenia i pęknięcia. Kiedy Torak i Renn rzucili się na śnieg, niedźwiedź przeskoczył nad nimi, podbiegł do martwej foki i chwycił ją zębami za głowę. Po czym odwrócił się i pognął przez lodową połąć, niosąc fokę z taką łatwością, jakby to był pstrąg.

–Psy! – krzyknęła Renn. – Trzymaj je! Szczenię kuliło się ze strachu pod saniami, ale pozostałe były nie do opanowania,

miotła nimi żądza krwi, a przytrzymywała tylko uprząż. Psy wspólnym wysiłkiem zerwały rzemienie i ruszyły w pościg, nie słuchając krzyków i komend Inuktiluka.

Jego but zaplątał się w ciągnącą się za saniami uprząż; Torak i Renn patrzyli z przerażeniem, jak psy ciągną go po lodzie. Psy były silne i szybkie, za szybkie, żeby je złapać. Torak przyłożył dłoń do ust i szczerknął głośną, krótką komendę, która w wilczym języku znaczy „STOP!”

Jego głos przeciął powietrze jak strzał z bicia i psy natychmiast usłuchały – stanęły, podwijając ogony i tuląc uszy.

W oddali niedźwiedź śnieżny zniknął między błękitnymi wzniesieniami lodu.

Torak i Renn pobiegli do Inuktiluka, który już siadał na śniegu, pocierając czoło.

Szybko doszedł do siebie. Chwycił uprząż w zaciśniętą dłoń, wyciągnął nóż i trzonkiem zaczął uderzać psy po nosach, karząc je za nieposłuszeństwo, a zwierzęta kuliły się i skomlały. Następnie, wciąż ciężko oddychając, skinął głową, dziękując Torakowi.

–To my powinniśmy tobie podziękować – powiedziała roztrzęsiona Renn. – Gdybyś nie odwrócił uwagi tej bestii...

Biały Lis pokręcił głową.

–Żyjemy tylko dlatego, że pozwolił nam żyć. – Zwrócił się do Toraka, a na jego twarzy znów pojawił się wyraz nieufności. – Moje psy... Potrafisz z nimi rozmawiać. Kim jesteś? Czym jesteś?

Torak otarł pot z górnej wargi.

–Musimy jechać. Ten niedźwiedź może ukrywać się wszędzie. Inuktiluk przyglądał mu się przez chwilę. Następnie zebrał pozostałe psy, wziął pod pachę ciało nieżywego zwierzęcia i kuśtykając, wrócił do sań.

Torak wypuścił z dłoni harpun, który spadł głośno na lód, i pochylił się, opierając dłonie na kolanach. Renn pogłaskała go po ramieniu. Spytał ją, czy się dobrze czuje.

–Trochę boli – odparła – ale przynajmniej nie jest to ramię, którym naciągam cięciwę. Co z tobą?

–Wszystko dobrze. W porządku. Potem ukląkł i zaczął wymiotować.

Zachodzące słońce rozpalało złotem granatowy lód, a psy pędziły w kierunku obozowiska Białego Lisa. Zapadła noc.

Na niebie pojawił się rożek księżyca. Torak wciąż patrzył na niebo, ale ani razu nie ujrzał kształtu Pierwszego Drzewa – olbrzymich, bezgłośnych, zielonych ogni, które zimą ukazują się na niebie. Tęsknił za nimi jak nigdy dotąd, szukał czegoś, co łączyłoby go z Lasem. Tym razem się nie doczekał.

Przejeżdżali obok ciemnych, dziwnie ukształtowanych wzgórz lodowych, słyszeli w oddali jęki i odgłosy pękania. Myśleli o demonach, które uderzają w lód, żeby się uwolnić. W końcu Torak ujrzał iskierkę pomarańczowego światła. Zmęczone psy zwietrzyły dom i przyspieszyły kroku.

Kiedy zbliżali się do obozowiska klanu Białego Lisa, Torak ujrzał olbrzymi, przysadzisty, okrągły śnieżny szałas i trzy mniejsze, połączone krótkimi tunelami na kształt plastra miodu. Przez ściany z lodowych bloków przenikało światło. Tuż obok nich nagle obudziło się do życia wiele maleńkich wzgórków, rozrzucając na boki śnieg i szczekając głośno na powitanie.

Zesztywniały Torak zszedł z sań. Renn skrzywiła się z bólu i roztarła ramię. Byli zbyt otępiali ze zmęczenia, zbyt wyczerpani, żeby bać się tego, co miało się stać.

Inuktiluk upierał się, żeby strzepnęli każdy, nawet najmniejszy płatek śniegu z ubrania, a nawet wyciągnęli kryształki lodu z brwi, zanim na czworakach wejdą do niskiego tunelu wejściowego, zbudowanego na kształt psiej nogi, dzięki czemu nie wpuszczał do środka wiatru. Posuwając się na czworakach, Torak poczuł gorzką woń płonącego foczego tłuszczu i usłyszał szmer głosów, które nagle zamilkły, jak nożem uciął.

W dymiącym świetle lampy zobaczył pod ścianami półki z wielorybich kości. Wisiały na nich rękawice i buty, które parując, schły przy ogniu. Ujrzał też szereg twarzy, błyszczących od foczego sadła.

Inuktiluk opowiedział w kilku słowach swojemu klanowi, jak odnalazł w burzy śnieżnej intruzów i o wszystkim, co stało się później. Opowiadał uczciwie – wspomniał o tym, że Torak go uratował, kiedy psy ciągnęły go po lodzie, ale głos mu zadrżał, kiedy mówił, że „wilczy chłopiec” przemówił do zwierząt ich własnym językiem.

Białe Lisy słuchały cierpliwie, nie zadawały pytań, przyglądały się Torakowi i Renn ciekawymi, brązowymi oczami, podobnymi do oczu opiekuna ich klanu. Nie wyglądało na to,

że mają przywódcę, ale starszyzna zebrała się przy lampie na niskiej platformie do spania zarzuconej skórą reniferów.

–To oni – powiedziała cienkim, piskliwym głosem niewielka kobieta o twarzy ciemnej jak skurczony i ścięty mrozem pączek róży. – To oni ukazali mi się w wizji.

Torak usłyszał, że Renn gwałtownie nabiera powietrza. Kładąc obie pięści na sercu na znak przyjaźni, pokłonił się starej kobiecie.

–Inuktiluk powiedział, że w swojej wizji widziałas, że chcę zrobić coś złego. Ale nie zrobiłem. Ani nie zrobię.

Ku jego zdziwieniu szałas śnieżny rozbrzmiał śmiechem, wszyscy czterej starsi klanu pokazali bezzębne dziąsła.

–Kto z nas – powiedziała stara kobieta – wie, jakie zło wyrządzimy, a jakiego nie? – Uśmiech zamarł jej na ustach, a czoło zmarszczył smutek. – Widziałam cię. Chciałeś złamać prawo swojego klanu.

–On nigdy by tego nie zrobił – powiedziała Renn. Stara kobieta nie zwróciła uwagi na te słowa, zaczęła tylko, aż Renn skończy, po

czym spojrzała na Toraka.

–Ognie na niebie – powiedziała spokojnym głosem – nigdy nie kłamią. Torak był bezgranicznie zdziwiony.

–Nie rozumiem! Co ja chciałem zrobić? Przez pooraną latami twarz przemknął grymas bólu.

–Podniosłeś toporek na Wilka.

Miałbym zaatakować Wilka? – krzyknął Torak. – Nigdy bym tego nie zrobił!-Ja też to widziałam – oznajmiła nagle Renn. – Widziałam to we śnie.

Nie mogła się powstrzymać, ale gdy tylko wypowiedziała te słowa, zaczęła żałować.

Torak patrzył teraz na nią tak, jak nigdy przedtem.

–Nigdy nie skrzywdziłbym Wilka – rzekł. – To jest niemożliwe. Szamanka klanu Białych Lisów rozłożyła ręce.

–Zmarli nie kłamią. Już miał zaprotestować, ale stara kobieta go uprzedziła:- Teraz odpoczniecie i zjecie z

nami posiłek. Jutro odeślemy was na południe i wszystko, co złe, minie.

Renn spodziewała się, że Torak będzie walczył, ale ucichł z tą upartą miną, która zawsze oznaczała jakieś kłopoty.

Białe Lisy krzątały się, wyjmując żywność z nisz wyciętych w lodowych ścianach. Teraz, kiedy przemówili już starsi klanu, wszyscy cieszyli się na ucztę, jakby Torak i Renn po prostu wpadli do nich jak sąsiedzi na wieczór opowieści. Renn widziała, jak Inuktiluk zabawia pozostałych opowiadaniem o tym, jak śnieżny niedźwiedź ukradł mu fokę, z czego wszyscy śmiali się gromko.

–Nie przejmuj się, mały bracie! – zawołał ktoś. – Ja swojej foki nie wypuściłem z rąk, mamy więc jeszcze co jeść!

–Dlaczego mi nie powiedziałaś? – spytał Torak. Twarz mu stężała, ale Renn widziała, że pod maską gniewu jest mocno wstrząśnięty.

–Chciałam – powiedziała – ale ty też mi nie powiedziałeś o swoim śnie i...

–Naprawdę wierzysz w to, że mógłbym skrzywdzić Wilka?

–Oczywiście, że nie! Ale widziałam to we śnie. Miałeś toporek. Stałeś nad nim i chciałeś go uderzyć.

Nosiła ten sen ze sobą cały dzień. To nie był zwyczajny sen, który nie zawsze oznacza to, na co wygląda – to był sen błyszczący kolorami, taki, jakie miewała może raz na trzysta lat księżyców. Taki, który zawsze się sprawdza.

Ktoś podał jej kawałek zmrożonego foczego mięsa i nagle poczuła, że jest bardzo głodna. Oprócz mięsa foczego jedli delikatną skórę wieloryba przerośniętą twardawym sadłem, kwaskowate grudki z pąków wierzby wyjęte z żołądka pardwy oraz przepyszną, słodką mieszankę tłuszczu foczego i jagód, jej ulubionych, tych bursztynowych. W lodowym szałasie rozbrzmiewały głosy rozmawiających i radosny śmiech. Białe Lisy bardzo szybko zapominały o smutkach i lubiły się cieszyć tym, co przynosi kolejny dzień. Torak, siedzący w milczeniu ze zwieszoną głową i spoglądający na wszystkich niechętnie, był jak fałszywa nuta w tej harmonii radości.

–Jeżeli będziemy się kłócić, to na pewno nie znajdziemy Wilka – powiedziała

Renn. – Chyba musimy im powiedzieć o Oku Żmii.

–Ja im nie powiem.

–Gdyby wiedzieli, to może by nam pomogli.

–Nie chcą nam pomóc. Chcą się nas pozbyć.

–Toraku, to dobrzy ludzie. Teraz Torak stał się napastliwy.

–Dobrzy ludzie potrafią się śmiać, a w środku są fałszywi! Wiem, bo sam widziałem! Wpatrywała się w niego.

–Nie mogę go jeszcze raz stracić – powiedział. – Z tobą jest inaczej, ty masz Fin-Kedinna i resztę swojego klanu. Ja mam tylko Wilka. Renn zamrugła powiekami.

–Masz mnie.

–Ale to nie to samo. Zapiekły ją policzki.

–Czasami się zastanawiam, dlaczego ja cię w ogóle lubię! – warknęła. W tym samym momencie potężnie zbudowana kobieta zawołała ją, żeby przyszła przymierzyć nowe ubranie, więc wyszła, nie oglądając się za siebie.

Jego słowa dźwięczały jej w uszach, kiedy szła na czworakach przez tunel do mniejszego szalasu ze śniegu, w którym cztery kobiety coś szyły. Ale to nie to samo, powiedział. Oczywiście, że nie! Chciała mu to wykrzyczeć prosto w oczy. Nie wiesz, że ty i Wilk jesteście pierwszymi w moim życiu prawdziwymi przyjaciółmi?

–Usiądź przy mnie – powiedziała kobieta, której na imię było Tanugeak. – I uspokój się.

Renn rzuciła się na skórę renifera i zaczęła się szarpać za włosy.

–Gniew – powiedziała Tanugeak – to forma szaleństwa. I marnowanie sił.

–Czasami jest jednak potrzebny – mruknęła Renn. Tanugeak zachichotała.

–Jesteś dokładnie taka jak twój wuj! Też się tak wściekał, jak był młody. Renn gwałtownie usiadła.

–Znasz Fin-Kedinna?

–Przyszedł tu wiele wiosen temu.

–Po co? Jak się poznaliście? Tanugeak poklepała ją po dłoni.

–Będziesz musiała go o to zapytać. Renn westchnęła. Bardzo tęskniła za wujem. On by wiedział, co zrobić.

–Te twoje wizje – powiedziała Tanugeak, przyglądając się nadgarstkowi Renn – mogą być niebezpieczne, powinnaś mieć znaki błyskawic dla ochrony. Jestem zdziwiona, że Szamanka twojego klanu tego nie zrobiła.

–Chciała – powiedziała Renn – ale jej nie pozwoliłam.

–Pozwól mnie to zrobić. Ja też jestem Szamanką. Sądzę, że będziesz ich potrzebowała. Nosisz w sobie sporo sekretów.

Poprosiła kobietę, która siedziała z dala od innych, o przybory do tatuazu. Później, nie dając Renn czasu na protesty, oparła jej przedramię na swoich grubych udach, naprężyła skórę i zaczęła ją szybko nakłuwać kościaną igłą, od czasu do czasu przerywając, żeby zamoczyć kawałeczek skóry mewy w kubku czarnej farby i wetrzeć barwnik w nakłucia.

Najpierw bolało, ale Tanugeak cały czas opowiadała różne historie, żeby odwrócić myśli Renn od bólu. Wkrótce jej gniew gdzieś uleciał, został tylko niepokój, że Torak

może zrobić coś głupiego, na przykład próbować uciec bez niej.

Czuła się tutaj bezpieczna. Na podwyższeniu do spania spało troje dzieci skulonych jedno przy drugim, jak małe szczeniaczki. Nad lampą z foczego sadła wisało niemowlę w wymoszczonym mchem pęcherzu foki. Kobiety rozmawiały i śmiały się, wypełniając pomieszczenie parą oddechów, tylko jedna, imieniem Akoomik, siedziała z boku i milczała.

Renn ogarnął senny spokój, poczuła się, jakby ktoś zdejmował z niej jedną po drugiej zasłony, którymi odgradzała się od świata.

Tanugeak zaczęła pracować nad drugim nadgarstkiem, a kobiety układały nowe ubrania Renn, wygładzając je szorstkimi od wiatru i śniegu dłońmi.

Dały jej wierzchnie spodnie i kurtkę z błyszczącej, srebrnej foczej skóry, na którą jedna z nich naszyła pióra ptaka opiekuna klanu Renn. Dostała też ciepły kaftan i noszone bezpośrednio na ciele spodnie z odwróconej puchem do środka gęsiej skóry, rękawiczki z zajęczego futra i mocne rękawice wierzchnie oraz buty z puchu białej pardwy zakładane na uszyte ze skór młodych fok grube skarpety. Poza tym chroniące przed wilgocią, wspaniałe wysokie buty z pozbawionej włosów foczej skóry, ze sznurowadłami zrobionymi ze ścięgien powiązanych ciasno w węzłki oraz z delikatnie karbowanym podbiciem.

–To piękne – powiedziała cicho Renn. – Ale nie mogę wam nic dać w zamian. Kobiety zdziwiły się, a po chwili roześmiały.

–Nie chcemy od ciebie nic w zamian – powiedziała jedna.

–Wróć o Ciemnym Czasie – powiedziała inna – a zrobimy ci ubranie na zimę. To jest na wiosnę!

Akoomik nie śmiała się z innymi kobietami, wkładając igły do małej kościanej kasetki. Renn zauważyła na kości maleńkie ślady po zębach i spytała, kto je zrobił.

–Moje dziecko – odparła Akoomik. – Kiedy ząbkowało.

–Czy najgorsze już minęło? – uśmiechnęła się Renn.

–O, tak – odparła Akoomik takim głosem, że Renn zadrżała. – Tam jest – wskazała palcem półkę wyciętą w ścianie z lodu, na której leżało małe, sztywne zawiniątko w zwierzęcej skórze.

–Bardzo mi przykro – powiedziała Renn. Ogarnął ją strach. W Lesie klany zabierały swoich Umarłych daleko od szalasów, żeby ich dusze nie nękały żyjących.

–Trzymamy naszych Umarłych aż do wiosny – powiedziała Akoomik. – Żeby ich lisy nie zjadły.

–I żeby nie czuli się odepchnięci – dodała Tanugeak tonem pocieszenia. – Lubią śpiew tak samo jak my. Kiedy zobaczysz gwiazdę lecącą bardzo szybko po niebie, to znaczy, że jeden z nich wyrusza na spotkanie z przyjaciółmi.

Renn pomyślała, że to pocieszające, ale Akoomik uszczypnęła się w nos, żeby się nie rozplakać.

–Demony odebrały mu oddech miesiąc temu. Teraz zabrały i mojego starszego syna. Renn przypomniała sobie, że Inuktiluk mówił coś o chłopcu, który zaginął w śniegach i lodzie.

–Mój mężczyzna zmarł z gorączki w księżycu Długiej Ciemności – mówiła dalej Akoomik. – Później moja matka poczuła, że nadchodzi śmierć. Wyszła na jej spotkanie, żeby nie odbierać pożywienia młodszemu. Jeżeli mój syn nie wróci, nie będę już miała nikogo.

Miała puste oczy, jakby uciekło z nich całe światło. Renn widziała to już wcześniej u ludzi, których dusze były nękane chorobą.

Jeśli stracę Wilka, nie będę już miał nikogo.

W końcu zrozumiała, co Torak miał na myśli. Jego matka zmarła, rodząc go. Stracił ojca, którego zabił niedźwiedź. Nigdy nie miał okazji spotkać pozostałych członków swojego klanu. Renn nie знаła nikogo bardziej samotnego niż on. Chociaż ona również straciła swoich bliskich, zdała sobie sprawę, że zarówno Torak, jak i Akoomik czują żal i bardzo świeży smutek. Jeżeli Torak straci Wilka...

Znowu zaczęła sobie wyrzucać, że opowiedziała mu o swoich podejrzeniach.

–Skończyłam – powiedziała nagle Tanugeak, a Renn o mało nie podskoczyła. Przyglądała się uważnie ładnym czarnym zygzakom na wewnętrznej stronie nadgarstków. Dzięki nim czuła się silniejsza, lepiej chroniona.

–Dziękuję – powiedziała. – Teraz muszę znaleźć mojego przyjaciela.

–Najpierw weź to. – Tanugeak dała jej mały woreczek uszyty z łuskowatej skóry łap łabędzia; jeszcze wisiały przy nim pazury.

–Co jest w środku? – spytała Renn.

–Rzeczy, których możesz potrzebować. – Szamanka pochyliła się ku dziewczynie. – Posłuchaj mnie uważnie

–powiedziała cicho. – Starsi klanu tamtej nocy zobaczyli na niebie jeszcze coś. Nie jesteśmy pewni, co to znaczy, ale ja mam przeczucie, że ty możesz wiedzieć

–przerwała. – To był trójząb, taki, jakich uzdrowiciele używają do łapania dusz chorych. Ale ten miał złą aurę.

Renn zacisnęła palce na woreczku.

–Aha – powiedziała Tanugeak. – Widzę, że tego się właśnie bałaś. – Dotknęła dłoni Renn. – Idź. Znajdź swojego przyjaciela. Kiedy nadejdzie czas, opowiedz mu o sekretach, które nosisz w sercu.

Kiedy Renn wróciła do głównego śnieżnego szałas, zobaczyła, że członkowie klanu Białego Lisa ułożyli się już na nocny spoczynek. Spali przytuleni jedni do drugich, a tylko nieliczni siedzieli, przeżuując i zmiękczając ścięgnię zwierzęce albo wyginając sztywne buty, żeby rano można je było włożyć. Torak spał głębokim snem na samym końcu podwyższenia.

Renn weszła do swojego śpiwora i zastanawiała się, co robić. Wizja Białych Lisów potwierdziła lęki, które nosiła w sobie przez całe dni. To Pożeracze Dusz porwali Wilka.

Bała się powiedzieć Torakowi. Ile jeszcze potrafi znieść?

Obudził ją Inuktiluk, szarpiąc za ramię.

Wszyscy jeszcze spali, ale przez szczeliny w lodowym szałasie Renn widziała, że księżyc jest nisko. Niedługo zacznie świtać. Toraka nie było. W mgnieniu oka zerwała się na nogi.

–On czeka na zewnątrz – wyszeptał Inuktiluk. – Chodź ze mną.

Po cichu przeszli do mniejszego lodowego szałas, gdzie Renn przebrała się ze starych rzeczy w nieznane sobie nowe.

Nocne powietrze cięło jak nożem, ale nie było wiatru. Śnieg połyskiwał w delikatnym blasku zachodzącego księżyca. Na powierzchni śniegu zrobiła się zamarznięta skorupa, będą więc musieli iść ostrożnie. Poruszyło się kilka psów, zwierzyły ich zapach i znów zapadły w sen.

Torak już czekał. Tak jak Renn miał nowe ubranie – ledwie go rozpoznała w srebrzystej kurtce.

–Pomagają nam uciec! – szepnął, a w jego oczach błyszczały radość i niepokój.

–Kim są ci oni? – syknęła Renn. – I dlaczego? Inuktiluk zniknął w ciemności.

–Powiedziałem mu wszystko – rzekł Torak. – Miałaś rację. Oni wiedzą o Oku Żmii! I jest taka kobieta, Akoomik. Ona nam powie, gdzie go szukać!

Renn była zdumiona.

–Ale... Myślałam, że im nie ufasz. Co sprawiło, że zmieniłeś zdanie?

–Ty – obdarzył ją jednym ze swoich rzadkich wilczych uśmiechów. – Czasami cię słucham.

Wołał ich Inuktiluk, ruszyli więc za nim na zachód, aż doszli do pęknięcia w lodzie. Renn zobaczyła ciemny blask wody i poczuła zapach Morza.

Szli wzdłuż kanału, który robił się coraz szerszy, a po jakimś czasie Torak dotknął jej ramienia.

–Popatrz.

–Łódź ze skóry! – Nie mogła złapać tchu. Łódź miała długość dziesięciu kroków, była mocna, zbudowana z pozbawionej

włosów focznej skóry naciągniętej na wręgi z kości wieloryba. Na jednym i drugim jej końcu leżały porządnie zapakowane plecaki Renn i Toraka, a na burtach – dwa wiosła rozszerzające się po obu stronach na kształt kaczych stóp.

–Ten kanał prowadzi do otwartego Morza – powiedział Inuktiluk. – Kiedy już tam dotrzecie, płyncie, mając ląd w zasięgu wzroku, ale z dala od ujścia Lodowej Rzeki.

–Mówiłeś, że nikt jej jeszcze nie przekroczył – powiedział Torak. Na okrągłą twarz wypełził uśmiech.

–Ale wielu opłynęło ją łodzią! – Po chwili uśmiech Inuktiluka zamarł. – Uważajcie na czarny lód. Jest gęstszy niż biały i jak się w niego dostaniecie, zatonicie w mgnieniu oka. Jak zobaczycie kawałek czarnego lodu w wodzie, to znak, że już kilka takich brył minęliście!

Renn zastanawiała się, jak w ciemnościach zauważą czarny lód w czarnym Morzu. Torak ważył w dłoni wiosło; nie mógł się już doczekać, kiedy wyruszą.

–Jak znajdziemy Oko Żmii? Z cienia wyłoniła się Akoomik i nożem zaczęła wycinać znaki na śniegu.

–Podążajcie za Gwiazdą Północy, aż miniecie Lodową Rzekę – powiedziała. – To mniej więcej dzień wiosłowania. Kiedy zobaczycie górę w kształcie trzech kruków przycupniętych na krze lodowej, dopłyniecie do zamarzniętej zatoki pod tą górą i ruszajcie granią, która prowadzi wokół jej północno-zachodniego krańca.

–Ale co to jest? – spytała Renn. – Jak będziemy wiedzieć, że to znaleźliśmy?

Mężczyzna i kobieta z klanu Białego Lisa zadrżeli i pokazali znak dłoni.

–Będziecie wiedzieli – powiedziała Akoomik.

–I niech opiekun klanu was chroni – dodał Inuktiluk – jeżeli zaponicie się do środka. Pomógł im wejść do łodzi. Torak pewnie chwycił wiosło, ale Renn nie czuła się na łodzi swobodnie. Nie miała z

łodziami wiele do czynienia.

–Dlaczego nam pomagacie? – spytała.

–Starszyzna klanu nie zna was tak dobrze jak ja – powiedział Inuktiluk. – Kiedy im wszystko wytłumaczę, nie będą źli. Poza tym, jeżeli ja wam nie pomogę, to i tak tam pójdziecie! – dodał.

Akoomik popatrzyła prosto w twarz Toraka.

–Ty kogoś straciłeś. I ja też. Jeżeli znajdziesz to, czego szukasz, może i ja znajdę... Torak pomyślał przez chwilę, następnie poszukał czegoś w plecaku i zacisnął jej

dłonie na jakimś przedmiocie.

–Weź to. Zmarszczyła brwi.

–Co to jest?

–Szable dzika. Zapomniałem, że je mam, ale są bardzo szczególne. Należały do mojego przyjaciela. Złóż z nich ofiarę wiatrowi. Za nas oboje.

Inuktiluk mruknął z aprobatą, a Akoomik po raz pierwszy pokazała w uśmiechu białe zęby.

–Dziękuję. Niech opiekun klanu będzie z wami!

–I z wami wszystkimi! – szepnęła Renn. Ruszyli w drogę ku otwartemu Morzu, tnąc dziobem łodzi czarną wodę, by odnaleźć

Nieznane wilki wyły wiele skoków stąd, a kiedy Wilk tego słuchał, czuł kąsanie samotności. Słyszał, że to duże stado, a każdy wilk sprytnie modulował wycie tak, by się wydawało, że jest ich jeszcze więcej. Wilk znał tę sztuczkę, nauczył się jej, kiedy ze swoim stadem biegał na Górze. W wyobraźni zobaczył wilki podnoszące radośnie pyski do Jasnego Białego Oka. Sam bardzo chciał zawuć, odpowiadając na ich zew. Był jednak ściśnięty znieawidzoną dziurawą skórą jelenia. Wycie było tylko wspomnieniem.

Ślizgające się drzewo zatrzęsło się, kiedy bezogony przekraczały śnieżną grań. Wilk zmuszał się, by nie zasnąć, żeby być gotowym, kiedy przyjdzie po niego wilczy brat. Było mu jednak coraz trudniej. Drapało go w gardle, bardzo chciało mu się pić. Ból rozrywał mu ogon. Kiedy byli na Wielkiej Wilgoci w strasznych pływających skórkach, było mu niedobrze. Wciąż bolał go brzuch.

Pozostałe stworzenia nie czuły się wcale lepiej. Wydra zapadła w przygnębiające milczenie, chociaż Wilk czuł, że nie jest jeszcze Bez Oddechu. Ryś i lis, które chwycił Jasna Sierść i wsadził na drugie ślizgające się drzewo, nie wydały z siebie głosu, od kiedy wstało Światło. Tylko rosomak od czasu do czasu warczał z wściekłością.

Obce wilki przestały wyć, a białe wzgórza śpiewały ciszą. Wilk wiedział, że teraz będą się oblizywać i obwąchiwać, przygotowując do polowania. On i Wysoki

Bezogon, kiedy szli na polowanie, zawsze dotykali się nosami, oblizywali i obwąchiwali, chociaż oczywiście tylko Wilk machał ogonem.

Ślizgające się drzewo obróciło się do wiatru, a Wilk zwietrzył zbliżające się góry. Wyczuwał dreszcz podniecenia w bezogonach, zgadywał, że dobiega końca ich wielki plan.

Śmierdzące Futro podeszła bliżej i idąc tuż przy nim, wrzuciła przez skórę jelenia kawałek Jasnego Miękkiego Chłodu. Wilk niepewnie chwycił go w zaciśnięte skurczem szczęki i rozgryzł. Brakowało mu już woli, żeby odmawiać jedzenia tego, co mu dawano.

Idący z przodu Jasna Sierść powiedział coś do Języka Żmii, oboje spojrzeli na niego i wybuchnęli piskliwym śmiechem bezogonów. Wilk poczuł rosnącą w sercu wściekłość. W wyobraźni uwalniał się ze skóry jelenia, jednym skokiem dopadał Jasnej Sierści i rozrywał mu gardło. Tryskała gorąca krew...

Ale to tylko w wyobraźni. Tak naprawdę słabł. Nawet gdyby się uwolnił, nie miałby siły, żeby powalić Jasną Sierść. Bał się, że kiedy w końcu przyjdzie Wysoki Bezogon i jego siostra ze stada, będzie za słaby, żeby walczyć u ich boku.

W miarę jak z nieba uciekało Światło, góra robiła się coraz wyższa. Wiatr ustał. Wilk wyczuł, że jest tu bardzo mało zwierzyny łownej. I żadnych wilków. Poczuł dreszcz strachu pod futrem.

Ślizgające się drzewo zatrzęsło się i przystanęło.

Na zboczu góry szczyrzyła zęby Jasna-Bestia-która-Kąsa-Gorąco, a obok niej, w milczeniu i nieporuszona, czekała Ta z Kamienną Twarzą.

Stała z przednimi łapami przyciśniętymi do boków, a Wilk wyczuł, że w dłoni trzyma szarą rzecz, od której biło światło, rzecz, która kąsa zimnem. Była bardzo wysoka, a jeszcze w dodatku jej cień na zboczu góry łopotał jak rozdarte skrzydło.

Wilk jej nie widział ani nie czuł od czasu, kiedy przyszła przez syczącą biel. Teraz jedno spojrzenie na jej przerażającą twarz uczyniło z niego piszczącego ze strachu małego wilczka.

Pozostałe bezogony w milczeniu pozostawiły ślizgające się drzewa i podeszły do niej. Lękały się, ale tak jak wcześniej skrywały jeden przed drugim swój lęk.

Ta z Kamienną Twarzą przemówiła grzechotliwym głosem, a całe stado przykucnęło przy Jasnej-Bestii-która-Kąsa-Gorąco i zaczęło się kołysać w przód i w tył. W przód i w tył, w przód i w tył. Wilkowi, który się temu przyglądał, zakręciło się w głowie, ale nie mógł oderwać od nich wzroku. Potem zaczęli wyć niskimi głosami, te głosy rozbrzmiewały we wnętrzu Wilka jak kopyta renifera galopującego po stwardniałej od mrozu ziemi. Wciąż i wciąż, coraz szybciej, coraz głośniej, aż serce zaczęło mu boleśnie bić w piersiach. Teraz od strony góry doleciał go zapach Ciemności i demonów, spadał na niego ulewą niewidzialnej Szybkiej Wilgoci.

Nagle Kamienna Twarz podniosła przednią łapę

–łapę, w której trzymała szarą rzecz kęsającą chłodem. Po czym – a Wilk przyglądał się temu ze zdziwieniem

–włożyła łapę prosto w szczęki Jasnej Bestii! Zesztywniały ze strachu patrzył, jak Śmierdzące Futro też wsadza tam swoją przednią

łapę, później Jasna Sierść, a na końcu Język Żmii. Patrzył, jak kiwiają się do przodu i do tyłu, wciąż szybko warcząc kamiennym terkotem, a ich łapy tkwiły głęboko w trzaskających szczękach Jasnej-Bestii-która-Kąsa-Gorąco.

Nagle wszyscy zawyli tryumfalnie i po chwili wyciągnęli łapy ze szczęk Jasnej Bestii.

Wilk nie mógł uwierzyć w to, co dochodzi do jego nozdrzy! Ich przednie łapy nie śmierdziały mięsem pogryzionym przez Jasną Bestię! Pachniały chłodem i świeżością!

Kim są te bezogony, których nawet Jasna Bestia boi się ugryźć?

Wilka przytłaczał lęk, lęk nie tylko o siebie, ale i o swojego wilczego brata. Wysoki Bezogon i samica byli sprytni i odważni, mieli Długie-Szpony-Które-Lecą-Daleko. Ale gdyby zaatakowali te dziwne, złe bezogony, zostaliby rozerwani na strzępy.

^*

Co tam pływa w wodzie? – syknęła Renn.

–Foka – powiedział Torak przez ramię.

–Na pewno?

–Nie wiem.

–Wyglądało na niedźwiedzia śnieżnego.

–Gdyby to był niedźwiedź śnieżny, to już byśmy wiedzieli. Ale ona to widziała.

Olbrzymi jasny kształt, prześlizgujący się przez ciemne wody

Morza pod ich obciągniętą skórą łodzią.

–Inuktiluk mówił mi, że istnieją białe wieloryby – powiedział Torak. – Może właśnie go widziałaś.

Renn była poirytowana, bo Torak w ogóle się nie bał. Ale lepiej niż ona radził sobie w skórzanej łodzi i był zbyt przejęty myślą, że musi znaleźć Wilka, żeby się czegoś bać.

Rozkołysane fale uniosły łódź, a Renn zanurzyła wiosło w wodzie, próbując nie myśleć o tym, co pływa pod dnem. Matka Morze mogłaby ich utopić jednym poruszeniem płetwy. Spadaliby w ciemność bez dna, usta mieliby otwarte w krzyku, który by się nigdy nie skończył, a kiedy ryby ogryzłyby do czysta ich kości, Ukryci Ludzie kołysaliby nimi przez wieczność, płacząc w swoich długich zielonych włosach...

–Uważaj – powiedział Torak. – Chłapiesz na mnie.

–Przepraszam. Bolały ją ramiona i chociaż miała na oczach ochronne klapki w kształcie oczu sowy,

w głowie pulsowało jej od blasku. Na otwarte Morze dotarli krótko po świcie i teraz znajdowali się w dziwnym świetle ciemnozielonej wody i dryfujących, błękitnych gór

lodowych. Na wschodzie rozciągała się biała połać lądu, na północy szeroki strumień pokruszonej kry, płynącej ogromną rzeką.

–Za wolno – mruknął Torak i przyspieszając, skierował łódź za unoszącą się na wodzie górą lodową.

–Chyba nie powinniśmy się aż tak zbliżać – powiedziała Renn.

–Czemu nie? Będziemy osłonięci od wiatru. Przyłożyła się do wiosła. U jasnozielonego podnóża góry grzały się w słońcu trzy foki.

Skupiła na nich wzrok i powiedziała sobie, że nie ma się co martwić.

Nie pomogło. Martwiła się. Torak był owładnięty jedynie myślą o odnalezieniu Wilka i Renn zastanawiała się, dokąd ich to doprowadzi. Jeszcze mu nie powiedziała o Pożeraczach Dusz. Obok nich przemknęła mniejsza góra lodowa, nie przerywając swej tajemniczej podróży. Renn poczuła jej mroźny oddech, usłyszała bicie fal Morza, które wyrzeźbiły w boku góry jaskinię. Jaskinia była błękitna, owalna i wpatrywała się w nią. Jak oko, pomyślała Renn.

–Oko Żmii – powiedziała nagle.

–Ja też o tym myślałem – rzekł Torak. – To nie może mieć nic wspólnego z prawdziwą żmiją, bo na północy ich tu niewiele...

–Ale Inuktiluk powiedział: jeśli zaponujecie się do środka. Odwrócił się do niej; w przepasce z sowimi oczami wyglądał jak ktoś zupełnie obcy.

–Chyba się domyślam, o co mu chodziło.

–Ja też – mruknęła Renn.

–Mam nadzieję, że się mylimy. Nie znoszę jaskiń. – Torak aż się otrząsnął. Wiosłowali w ciszy. Aby podtrzymać się na duchu, Renn zaczęła myszkujeć w zawiniątku z jedzeniem.

Białe Lisy dobrze ich zaopatrzyły. Oprócz kawału sadła ze skórą znalazła zamrożone focze żebra i krwistą kielbasę. Ucięła dwa kawałki i podała jeden Torakowi. Kielbasa chrzęściła w zębach i brakowało w niej posmaku jagód jałowca. Renn jeszcze bardziej zatęskniła za Białymi Lisami.

–Głupio mi wobec nich – powiedziała.

–Dlaczego? – spytał Torak z pełnymi ustami.

–Tyle nam dali, a myśmy im odpłacili ucieczką.

–Chcieli nas wysłać na południe!

–Ale te wszystkie rzeczy... Noże śnieżne. Lampy. Lepsze bukłaki na wodę. Nowe krzesiwo dla mnie i piękny pokrowiec na łuk. W łodzi są też narzędzia do naprawy – wzięła do ręki mieszek z foczej płetwy.

Torak nawet nie rzucił okiem. Opuścił wiosło i zapatrzył się przed siebie.

–Co się dzieje? – spytała Renn. Tuż przed nimi na górze lodowej obudziły się foki. Renn była zaskoczona.

–Przecież mamy dość jedzenia – szepnęła. – Nie możemy się teraz zatrzymywać, żeby polować.

Nie zwracał na nią uwagi.

Nagle foki ześliznęły się po lodzie wprost do wody. W tym samym momencie Torak zanurzył wiosło i – krzyknął:

–Zawracamy, zawracamy! Ostro skręcił łodzią w lewo. Zaskoczona Renn zrobiła to samo i łódź, jak strzała

wypuszczona z łuku, pomknęła w bok, jak najdalej od wody ciągnącej się za górą. Ogłuszający ryk rozdarł niebo, gdy góra przewróciła się i runęła w Morze, wznosząc w miejscu, w którym przed chwilą byli, ścianę wody.

Dyszząc ciężko, kołysali się na falach. Tam, gdzie przed chwilą była góra lodowa, teraz opadała i wznosiła się na falach połać białego, pokruszonego lodu.

–Skąd wiedziałeś, że to się stanie? – spytała Renn.

–Nie wiedziałem – odparł Torak. – Foki wiedziały.

–Skąd wiedziałeś, że one wiedzą? Zawahał się.

–Czują to w wąsach. Zeszłego lata chodziłem z duchami w ciele foki. Pamiętasz?

Oszołomiona Renn zlizywała sól z warg. Zapomniała albo nie chciała pamiętać. Nie znosiła wspomnień o Toraku zupełnie innym niż teraz. Zobaczył to na jej twarzy.

–No, przestań – powiedział. – To było dawno temu. Popłynęli dalej, okrążając góry lodowe. Renn czuła dystans, jaki wyrósł między nią a

Torakiem, dystans niedopowiedzeń. Wkrótce będzie się musiała z nim podzielić tym, co wie. Wiatr się wzmógł, smagając chłodem ich twarze, ale w nowym ubraniu Białych Lisów Renn prawie go nie czuła. Focza skóra chroniła ją od wiatru, ale była lżejsza niż skóra renifera, a bielizna z gęsich piór utrzymywała ciepło, nie wypuszczając jednak na zewnątrz potu, więc Renn nie marzła. Obsyty psim futrem kaptur chronił twarz, a futro nie zamarzało od oddechu, spodnie rękawiczki zaś miały otwory, przez które Renn mogła wysuwać palce, kiedy musiała na przykład otworzyć skórzany woreczek. Poza tym ubranie było piękne, srebrne futro błyszczało w słońcu. Renn czuła się w nim jednak jak ktoś zupełnie inny.

Zygzaki wytatuowane na nadgarstkach również dawały jej poczucie odmienności; zastanawiała się, dlaczego Tanugeak zrobiła jej taki podarunek. Szamanka Białych Lisów wiedziała różne rzeczy, które, jak sądziła Renn, wiedzą tylko Saeunn i Fin-Kedinn, rzeczy, które ona, Renn, zamykała w najdalszych zakątkach umysłu.

Najbardziej jednak zaskoczył ją ostatni podarunek Tanugeak. Woreczek ze skóry z łapy łabędzia zawierał czarny proszek pachnący sadzą i wodorostami. Co właściwie ma z nim zrobić?

–Popatrz – powiedział Torak, przerywając jej myśli. Prowadził łódź dalej w Morze, i teraz Renn zrozumiała dlaczego. Na wschodzie

rozciągała się błyszcząca w słońcu biel Lodowej Rzeki. Ostre szczyty górowały nad ścianą oślepiających klifów, poprzecinanych głębokimi błękitnymi szczelinami. Renn usłyszała w oddali grzmiący odgłos i zobaczyła wielką bryłę lodu, który oderwał się od klifu, a po chwili runął w Morze. W niebo wystrzeliły chmury sproszkowanego lodu. W ich kierunku przetoczyła się zielona fala, która rozkołysała łódź.

Gdybyśmy byli bliżej, toby nas zmiażdżyło. Tak jak mojego ojca, pomyślała Renn.

–Postaraj się o tym nie myśleć – powiedział cicho Torak. Ujęła wiosło i dźgnęła nim wodę. Słońce było już nisko, a Lodowa Rzeka daleko za nimi, kiedy w końcu dostrzegli

zarys tej góry. Z białego lądu wyrastała wprost w niebo – trzy nagie szczyty, przecinające nieboskłon jak kruki, które siadły na krze.

Renn nigdy nie widziała nic bardziej samotnego. Dwie wiosny temu jej klan podążał do najbardziej na północ wysuniętego krańca Wysokich Gór i wtedy czuła się, jakby dotarła do krawędzi świata. Teraz poczuła się tak, jakby z niej spadła.

Torak też to poczuł i wysunął dłoń, by dotknąć kawałka skóry zwierzęcia

opiekującego się jego klanem.

Na południe od zachodnich grani góry znaleźli zatokę, którą Akoomik narysowała na śniegu. Z wielką ulgą wysiedli z łodzi na zeszywniałych nogach. Znowu pomyśleli z wdzięcznością o Białych Lisach. Łódź tak łatwo było nieść, a szorstkie podeszwy butów nie ślizgały się na śniegu.

Ukryli łódź w cieniu śnieżnego wzgórza, odwrócili ją do góry dnem i oparli na czterech rozwidlonych gałęziach.

–Inuktiluk nazywał je podpórkami brzegowymi – powiedział Torak do Renn. – Dzięki nim możemy zamienić łódź w szałas.

Renn wiedziała, że nic innego im nie pozostaje, bo już dawno minęła połowa dnia, a cienie robiły się purpurowe. Torak już szukał śladów.

Wkrótce je znalazł – szeroki pas zdeptanego śniegu.

–Dwie pary sań – powiedział, marszcząc brwi. – Mocno obciążone, zmierzają w kierunku góry. Ślady całkiem świeże. – Wyprostował się. – Chodźmy.

Renn wstrząsnął dreszcz. Nagle Pożeracze Dusz znaleźli się bardzo blisko.

–Czekaj – powiedziała. – Musimy o tym porozmawiać.

–Po co? – spytał zniecierpliwiony. Zawahała się.

–Jedna z kobiet klanu Białego Lisa coś mi powiedziała. Przez cały dzień chciałam ci to przekazać. – Tak?

Zniżyła głos do szeptu.

–Torak. To są Pożeracze Dusz. To oni porwali Wilka.

–Ja... Ja wiem – powiedział.

–Co takiego? Opowiedział jej, co zobaczył, kiedy wędrował z duchem kruka.

–Ale... Dlaczego mi nie powiedziałaś? – krzyknęła.

–Wiedziałaś o tym od tylu dni! Wzniósł oczy i szturchnął śnieg butem.

–Wiem, że powinienem ci powiedzieć, ale nie mogłem ryzykować. Myślałem, że zechcesz wrócić do Lasu.

–Zasepił się. – Gdybyś odeszła... Nagle zrobiło jej się go żal.

–Podejrzywałam to od wielu dni, ale nie odeszłam. Teraz też nie odejdę. Ich oczy się spotkały.

–No to... W drogę.

–Dobrze. W drogę. – Przełknęła ślinę. Przypatrywali się śladom Pożeraczy Dusz ciągnącym się zygzakiem ku górom.

–A jeśli to jakaś pułapka? – spytała Renn.

–Nic mnie to nie obchodzi – wymamrotał Torak.

–Jeśli słyszeli jakieś pogłoski o tym, że istnieje chłopiec z klanu Wilka, który potrafi chodzić z duchami? Jeżeli cię złapią, jeżeli odbiorą ci moc, sprowadzisz niebezpieczeństwo na cały Las.

–Nic mnie to nie obchodzi – powtórzył. – Muszę znaleźć Wilka! Renn wpadła na pewien pomysł.

–Może by tak się przebrać?

–Co takiego?

–To ich zbije z tropu. Kto wie, może Tanugeak to właśnie miała na myśli. W

każdym razie dała mi to, czego nam trzeba.

Torak odszedł na kilka kroków, po czym wrócił do Renn.

–Co robimy? Zmiana wyglądu nie trwała długo. Ich tatuaże klanowe nie stanowiły problemu, bo po

burzy śnieżnej oboje mieli policzki w takich bąblach, że delikatne znaki na skórze ledwie było widać. Renn zrobiła czarną farbę, mieszając proszek od Tanugeak z wodą, i palcem namalowała na nosie Toraka poprzeczną kreskę oznaczającą klan Białego Lisa. Skróciła mu włosy do ramion i obcięła grzywkę nad brwiami. Był zbyt chudy, żeby przekonująco udawać Białego Lisa, ale przy odrobinie szczęścia ukryje to jego ubranie.

Sobie pofarbowała włosy na czarno, wczesując w nie ten sam barwnik, którym przyczerniła sobie twarz. Poleciała Torakowi, by zamienił ją w Zająca Górskiego, malując jej na czole zygzak sproszkowaną czerwoną gliną ze swego rogu z lekami.

Torak był zdezorientowany.

–Już nie wyglądasz jak Renn.

–To dobrze – powiedziała. – A ty nie wyglądasz jak Torak. Przez chwilę wpatrywali się w siebie, znacznie bardziej zaniepokojeni, niż chcieli przyznać, po czym wyruszyli śladem Pożeraczy Dusz.

Sanie wleczono w górę granią ciągnącą się wzdłuż zachodniego masywu góry, dokładnie tak jak powiedziała Akoomik. W miarę jak wspinali się coraz wyżej, ich cienie gęstniały, przechodząc z fioletu w czerń drzewnego węgla. Raz po raz się zatrzymywali, żeby nasłuchiwać, ale nie usłyszeli żadnego poruszenia żywej istoty. Ani trzepotu skrzydeł orła, ani krakania kruka.

Robiło się coraz zimniej. Wiatr ustał. Słysząc było tylko skrzypienie ich butów na śniegu.

I wtedy, zupełnie nagle, natknęli się na sanie ułożone byle jak jedne na drugich, tuż obok ścieżki.

Po tylu dniach podążania za najniklejszymi śladami, te solidne i dotykalne konstrukcje z drewna i skóry kompletnie ich zaskoczyły. Pożeracze Dusz również stali się bardziej konkretni i dotykalni.

Czując, że ich wyprawa zbliża się do końca, schowali plecaki i śpiwory w śniegu kilka kroków od sań. Renn widziała, jak niechętnie Torak rozstaje się z nożem ojca zrobionym z błękitnego łupku.

–To jest zbyt niebezpieczne – powiedziała. – Znali go, mogą rozpoznać i ten nóż. Postanowili zabrać ze sobą skórzane bukłaki z wodą które dali im członkowie klanu

Białego Lisa, trochę jedzenia i noże. Renn zatrzymała też swój łuk i chciała wziąć toporki, ale Torak, znając już wizję kobiety z klanu Białego Lisa, obawiał się, że to za duże ryzyko.

Dwadzieścia kroków za saniami ślad nagle skręcił. Zatrzymali się.

Nad nimi wznosiła się ponura góra oświetlona karmazynowa czerwienią i ostatnimi promieniami słońca. W zboczu góry, jak pusty oczodół, ziała czarna dziura. Przed nią zaś, jak ostrzeżenie, stała wysoka kolumna z szarego kamienia.

Z głębokiej ciemności jaskini wypełzała biała mgła. Dosięgały ich jej wilgotne i

lepkie ramiona, niosąc ze sobą odór strachu i demonów. Nadzieja wyparowała. Jeżeli Pożeracze Dusz zabrali Wilka tam do środka...

Spoglądając za siebie, Renn po raz pierwszy zobaczyła kształt całej góry. Ujrzała, jak wznosi się ze śniegu niczym głowa jakiegoś wielkiego stwora. Widziała Lodową Rzekę rozwijającą się spiralną grubą krętą linią na wschód, a następnie zawracającą i gubiącą się w Morzu.

Torak też to zobaczył.

–Znaleźliśmy Żmiję – szepnął.

–Stoimy na niej – powiedziała bezgłośnie Renn.

Odwrócili się z powrotem ku zboczcu góry – do bijącego czernią otworu przedzielonego stojącym na sztorc kamieniem.

–A to jest jej Oko – wyszeptała Renn.

?? Torak zdjął ochronne klapki w kształcie oczu sowy i włożył je do woreczka z amuletami.

–Są tam – powiedział. – Czuję to. I Wilk też tam jest. Renn przygryzała wargę.

–Musimy się nad tym zastanowić.

–Ja już dość się nazastanawiałem – rzucił krótko. Wzięła go za ramię i pociągnęła za skałę, z dala od patrzącego na świat Oka.

–Nie ma sensu wchodzić do środka – powiedziała. – Chyba że będziemy wiedzieli na pewno, że Wilk wciąż żyje.

Nie odpowiedział. Nagle, ku jej przerażeniu, przyłożył dłonie do ust i zawył. Chwyła go za rękę.

–Oszalałeś? Usłyszają cię!

–No i co z tego? Pomyślą, że jestem wilkiem.

–Tego nie wiesz. Torak, to są Pożeracze Dusz!

–No to co robić?

–Jest inny sposób. Zdjęła rękawiczkę, poszukała czegoś przy kołnierzu swojej kurtki i wyciągnęła

maleńki gwizdek zrobiony z kości pardwy, który jej kiedyś podarował. Dmuchiła weń, ale nie usłyszeli żadnego dźwięku. Wiedzieli, że tak będzie, ale jeżeli Wilk żyje, na pewno go usłyszysz.

Nic. Nawet powiewu wiatru w nieruchomym powietrzu.

–Spróbuj jeszcze raz – powiedział Torak. Renn spróbowała. I jeszcze raz. I znów, i jeszcze raz.

Wciąż nic. Nie mogła spojrzeć mu w oczy. I wtedy – z głębi, z wnętrza góry - usłyszeli cichy odgłos wycia.

W Toraka wstąpił nowy duch.

–Mówiłem ci! Mówiłem ci! Wycie było długie, głos drżący, nawet Renn słyszała w nim ból i rozpacz. Robiło się

coraz głośniejsze i głośniejsze... I nagle zamarło.

Wilku! – krzyknął Torak, rzucając się naprzód. Renn szarpnęła go w tył. – Torak, nie! Usłyszają cię.-Nic mnie to nie obchodzi, puść mnie! Odepchnął ją tak mocno, że poleciała na śnieg. Wylądowała na plecach i spoglądali na

siebie, oboje zaszokowani jego gwałtownością. Wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wstać, ale poradziła sobie bez pomocy.

–Nie rozumiesz, że jeżeli wejdiesz do tej jaskini, trafisz prosto w ich łapy? – syczała Renn wściekłym szeptem.

–Ale on mnie potrzebuje!

–Jak mu pomożesz, jeżeli dasz się zabić? – Pociągnęła go z powrotem ścieżką poza pole widzenia Oka. – Musimy się zastanowić! On tam jest. To wiemy. Ale jeżeli wleziemy tam bezmyślnie, kto wie, co się stanie?

–Słyszałaś to wycie – powiedział przez zęby. – Jeżeli teraz nie wejdziemy, on może umrzeć.

Renn otworzyła usta, żeby zaprotestować... I zamarła.

Torak też to usłyszał. Skrzypienie butów. Ktoś szedł zboczem góry.

W jednej chwili oboje ukryli się za saniami.

Skrzyp, skrzyp, skrzyp. Niespiesznie. Coraz bliżej.

Torak cichutko wyciągnął nóż z pochwy. Klęcząca za nim Renn ściągnęła rękawiczki i założyła strzałę na cięciwę łuku. Dostrzegli mocno zbudowanego mężczyznę. Był ubrany w brudną skórę foki, na ramieniu niósł zawiniątko z szarej skóry. Głowę miał pochyloną. Jego twarz zasłaniał kaptur. Nie widać było, żeby niósł broń.

Torak przyglądał mu się i czuł, jak wzbiera w nim i dławi go wściekłość. Oczy nabiegły mu krwią. To był jeden z nich. Ten człowiek porwał Wilka.

W wyobraźni ujrzał Wilka stojącego dumnie na półce skalnej ponad Lasem, w słońcu oświetlającym złotymi promieniami jego futro. Usłyszał pełne bólu i cierpienia wycie. Wilczy bracie! Pomóż mi!

Skrzyp, skrzyp, skrzyp. Mężczyzna niemal się z nim zrównał. Zatrzymał się. Spoglądał przez ramię, jakby niespiesznie mu było dalej.

Dla Toraka tego było już za wiele. Prawie nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, skoczył naprzód, jak byk uderzył mężczyznę głową w brzuch i powalił go na śnieg.

Mężczyźnie zapało dech w piersiach, ale już po chwili z zadziwiającą szybkością przetoczył się na bok, jednym kopnięciem wybił Torakowi nóż z dłoni, chwycił go za kaptur, dławiąc gardło, i szarpnął do tyłu. Torak poczuł, jak silne nogi przeciwnika gniołają mu ramiona, wyciskają oddech z piersi, poczuł, jak krzemień wciska mu się boleśnie w gardło.

–Nie radziłabym – powiedziała chłodno Renn. Podeszła krok bliżej ze strzałą wymierzoną w serce napastnika.

Torak poczuł, że chwyt na jego żebrach się rozluźnia. Napastnik puścił jego kaptur, cofnął nóż.

–Proszę, nie róbcie mi krzywdy! – skowyczał teraz. Ze strzałą wciąż wymierzoną w serce mężczyzny Renn pchnęła nóż Toraka butem w kierunku przyjaciela, a następnie kazała jeńcowi wstać.

–Nie, nie! – jęczał nieznajomy, przypadając jej do stóp. – Nie wolno mi spoglądać w oblicze mocy!

Torak i Renn spojrzeli na siebie zdziwieni.

Jeniec czołgał się u jej nóg, próbując jednocześnie chwycić worek, upuszczony podczas ataku. Torak spostrzegł ze zdziwieniem, że to nie mężczyzna, ale chłopak mniej więcej w jego wieku, chociaż dwa razy cięższy. Na nosie miał czarny tatuaż Białych Lisów, a jego okrągła twarz błyszczała od foczego sadła i ociekała potem ze strachu.

–Gdzie on jest? – spytał Torak. – Co z nim zrobiliście?

–Kto? – spytał zdezorientowany chłopak. Zobaczył tatuaż Toraka i szczęka mu opadła.

–Nie jesteś jednym z nas. Kim jesteś?

–Co tu robisz? – rzuciła krótko Renn. – Nie jesteś Pożeraczem Dusz!

–Ale będę! – odparł chłopak z nagłą energią. – Obiecali mi!

–Ostatni raz pytam – powiedział Torak, podchodząc z nożem gotowym do ciosu – co zrobiliście z Wilkiem?

–Odejdź ode mnie – pisał chłopak, cofając się do tyłu jak rak. – Jeżeli... Jeżeli krzyknę, to usłyszą. Przyjdą mi na pomoc, cała czwórka! Tego chcecie?

Torak patrzył na Renn. Czwórka?

–Odejdźcie ode mnie! – Chłopak powoli wspinał się na śnieżne zbocze. – Postanowiłem, że tak zrobię! Nikt mnie nie powstrzyma!

Brzmiało to tak, jakby starał się samego siebie do czegoś przekonać. Torak wpadł na pewien pomysł.

–Co masz w tym zawiniątku? – spytał, żeby chłopak nie przestawał mówić.

–Ja... Sowę – wymamrotał chłopak. – Chcieli sowę na ofiarę.

–Ale sowa to łowca – powiedziała oskarżycielsko Renn.

–Podobnie jak wilk – dodał Torak. – I łasica. Co twoi władcy tam robią? Powiedz nam albo...

–Nie wiem! – krzyknął chłopak, pnąc się wyżej po zboczu.

Szli za nim i wreszcie ukazało się Oko.

–Czy ci, którzy tobą rządzą, mówią o tym, który chodzi z duchami? – spytała cicho Renn. – Mów prawdę! Będę wiedziała, jeżeli skłamiesz!

–O tym, który chodzi z duchami? – Oczy chłopca rozszerzyły się ze strachu. – Gdzie?

–Czy kiedyś o tym mówili? – spytał Torak.

–Nie, nie, przysięgam! – Teraz pocił się obficie, czuć było od niego zapach zjełczanego sadła. – Przyszli tutaj złożyć ofiarę! To wszystko, co wiem, przysięgam na moje wszystkie trzy dusze!

–Dlaczego łamiesz prawo klanu? Chwytasz łowców na ofiarę? – spytała Renn. – Dla pustej obietnicy władzy, której nigdy nie dostaniesz?

Torak włożył nóż do pochwy i ruszył w kierunku chłopca.

–Twoja matka chce, żebyś wrócił – powiedział. Miał rację. Ramiona chłopca opadły. Renn zdziwiła się bardzo, ale Torak nie zwracał na nią uwagi. Gdyby się domyśliła, co chce zrobić, próbowałaby go powstrzymać.

–Znikaj stąd – powiedział do chłopca. – Wracaj do Akoomik, bo teraz jeszcze możesz. Na okrągłej twarzy przerażenie walczyło z poczuciem godności.

–Nie mogę – szepnął.

–Jeżeli teraz nie odejdziesz, będzie za późno – rzekł Torak. – Twój klan cię wygna. Nigdy już ich nie zobaczysz.

–Nie mogę – płakał chłopak. Gdzieś z głębi Oka rozbrzmiał basowy głos:

–Chłopcze! Już czas!

–Ja ci to ułatwię – warknął Torak. Wyrwał chłopcu zawiniątko z rąk i popchnął go w dół ścieżki. – No, idź już, idź! – Zrzucił sobie zawiniątko na ramię. – Renn, nie gniewaj się, ale ja muszę.

Renn dopiero teraz zrozumiała, co on zamierza zrobić.

–Torak... Nie... To się nie uda, zabiją cię! Odwracając głowę, krzyknął w kierunku Pożeraczy Dusz:

–Już idę! Pobiegł ścieżką i zniknął w Oku Żmii.

Po oświetlonej zachodzącym słońcem górze ciemność uderzyła Toraka w twarz, jakby wpadł na bazaltową ścianę.-Zamknij oczy – powiedział głos tuż przed nim. – Niech poprowadzi cię ciemność. Torak ledwie zdążył naciągnąć kaptur na twarz, gdy ujrzał zbliżającą się ku niemu

postać, niosącą łuczywo z tryskającej iskrami sosnowej gałęzi.

Sądząc po głosie, myślał, że ma do czynienia z mężczyzną, ale kiedy zerknął spod kaptura, ze zdziwieniem stwierdził, że to kobieta. Była zwalista i kwadratowa, a nogi miała tak potwornie krzywe, że idąc, kiwała się jak kaczką. Rysy jej twarzy zupełnie nie pasowały do całej reszty – małe, rozbiegane oczka, ostre rysy i wystająca broda. Szpiczaste uszy przypominały Torakowi nietoperza. Nie rozpoznał znaków jej klanu, a tatuaż w kształcie szpica na brodzie był mu nieznany. Jego wzrok przyciągnął kościany amulet na piersiach -trójzęb do nabijania dusz.

–Długo cię nie było – powiedziała Pożeraczka Dusz. – Masz to? Kryjąc twarz, Torak uniósł zawiniątko. Sowa słabiotko poruszyła się w środku. Pożeraczka Dusz stęknęła, a następnie odwróciła się i kołyszącym krokiem ruszyła do wnętrza jaskini.

Torak obejrzał się i ujrzał daleko za sobą ostatni przebłysk dziennego światła. Przewiesił sobie zawiniątko przez ramię i ruszył za kobietą.

Pożeraczka Dusz mimo krzywych nóg szła szybko i w świetle poruszającego się łuczywa Torak widział tylko część jaskini, w której zanurzali się coraz głębiej. Poprzecinane występami skalnymi czerwone ściany przypominały otwarty przelyk. Tunel był jasny i kręty jak jelito. Torak zobaczył pożółkłe odciski dłoni, które rozblyskały, a następnie blakły w półmroku. Cały czas słyszał też echo kapiącej wody.

Idąc krok za krokiem w głąb jaskini, coraz lepiej zdawał sobie sprawę z głupstwa, jakie zrobił. Kiedy Pożeraczka Dusz zobaczyła jego twarz, zorientują się, że nie jest chłopcem z

klanu Białego Lisa. Kto wie, może w jego twarzy dostrzegą podobieństwo do ojca? A może już wiedzą, kim on jest, i zastawili pułapkę?

Szli coraz głębiej i głębiej. Jakieś nieczyste ciepło biło od tych skał, oblepiło policzki Toraka jak pajęczyna, a do gardła wdzierał mu się kwaśny smród.

–Oddychaj ustami – mruknęła Pożeraczka Dusz. Tata dawał mu tę samą radę. To było straszne uczucie – usłyszeć te słowa powtórzone przez wroga. Nad sobą Torak zobaczył cienkie płyty czerwonego kamienia, zwisające w dół jak kawałki zakrwawionej skóry. W ich zakamarkach kryły się przed światłem jakieś niedostrzegalne stworzenia.

Torak uderzył głową o skałę i upadł; po chwili krzyknął z obrzydzenia, kiedy jego palce zagłębiły się w czymś ciemnym, miękkim, rojącym się od szarego robactwa. Silna dłoń chwyciła go za ramię i podniosła, stawiając na nogi.

–Cicho – powiedziała Pożeraczka Dusz – bo je przestraszysz! – Później mruknęła w ciemność: – No już, już, maleństwa.

Jakby w odpowiedzi usłyszeli pisk i poszum skrzydeł tysięcy nietoperzy.

–Budzi je ciepło – mruknęła Pożeraczka Dusz. Oparła dłoń na ścianie tunelu i kazała Torakowi zrobić to samo. Aż się cofnął. Ze skały sączyło się ciepło świeżych zwłok. Znał tylko jeden powód takiego zjawiska. Tamten Świat.

–Tak, Tamten Świat – powiedziała Pożeraczka Dusz, jakby usłyszała jego myśli. – Jak sądzisz, dlaczego przeszliśmy aż taki kawał drogi?

Nie odważył się odpowiedzieć, co ją zirytowało.

–Nie pozwól, żeby nietoperze widziały twoje oczy – warknęła. – Lecą do błysku. Tunel rozszerzył się nagle, przechodząc w długą, niską komnatę koloru zaschniętej krwi. Ze ścian wydobywał się wyciskający łyż z oczu, duszący odór, przypominający smród zwierzęcego łajna w środku lata. Torakowi żołądek podszedł do gardła.

Po chwili jednak zapomniał o smrodzie. W ścianach znajdowały się niewielkie puste nisze, niektóre zaparte kamiennymi blokami. Z wnętrza jednej z nich usłyszał syk rosomaka. A tam, gdzie rosomak, może być również Wilk!

Wydał z siebie niski pomruk, który Wilk na pewno zrozumie: To ja!

Żadnej odpowiedzi. Rozczarowanie uderzyło w niego jak fala. Jeżeli Wilk wciąż żyje, na pewno go tu nie ma.

–Przestań jęczeć – warknęła Pożeraczka Dusz. – I staraj się nadażać za mną! Jeżeli się tu zgubisz, nigdy cię nie znajdziemy!

Znowu tunele i tunele, aż Torakowi zaczęło się kręcić w głowie. Zastanawiał się, czy Pożeraczka Dusz specjalnie wybrała okrężną drogę, żeby stracił tu orientację. Za ostrymi rysami twarzy wyczuwał inteligentny umysł. Pokręcone nogi, latające myśli. Tak właśnie powiedział Wędrowiec.

Dotarli do sporej podziemnej komnaty i Torak osłupiał. Przed nim wyrastał las. Las z kamienia.

W górę pięły się cieniste drzewa i krzewy szukające słońca, którego nigdy nie znajdują. Kamienne wodospady stały skute lodem jak w środku niekończącej się zimy. Torak szedł za rozkołysanym światłem łuczywa, czując, że na czoło występuje mu niezdrowe ciepło i pot. Kątem oka widział jak w koszmarze sennym błyski łuczywa na kamiennych postaciach -niektórych przykucniętych nad nim, innych na wpół ukrytych w wodzie. Kiedy znów spojrział, już ich nie było, ale czuł ich obecność. Ukryci Ludzie Skał.

Pożeraczka Dusz doprowadziła go do potężnego pnia z zielonego kamienia, który wyglądał, jakby został przycięty do rozmiarów pniaka niewyobrażalnie mocarnym ramieniem w niezwykłym akcie przemocy. Torak usłyszał poruszenie i zrozumiał, że ktoś go obserwuje.

Potknął się o korzeń, stracił równowagę i upadł. W jaskini rozległ się śmiech.

–Co tam, Ner? – spytał ironicznie jakiś kobiecy głos. – W końcu ci się udało przyprowadzić tu naszą znajdę?

Torakowi serce zaczęło walić jak młot. Udało mu się oszukać jedną Pożeraczkę Dusz. Będzie musiał wysilić teraz całą swoją inteligencję, żeby oszukać pozostałych. Łasząc się do nich tam, gdzie leżał, zaczął piszczeć:

–Nie, nie, nie każcie mi patrzeć w oblicze mocy!

–Znowu – jęknęła Nef. – Nawet na mnie nie odważy się spojrzeć! Torak poczuł nadzieję. Jeżeli nie widzieli wcześniej twarzy chłopca z klanu Białego

Lisa...

Chłodny palec musnął policzek Toraka; chłopiec aż się wzdrygnął.

–Jeżeli nie odważy się spojrzeć na Nef, Czarownicę Nietoperza – szeptał kobiecy głos wprost do jego ucha – czy odważy się spojrzeć na Seshru, Czarownicę Żmii?

Zdjęła kaptur, i Torak ujrzał najdoskonalszą twarz, jaką kiedykolwiek widział. Oczy skośne jak u rysia, przejrzyste błękitne, usta wykrojone ze straszliwą precyzją absolutnego piękna. Zaczesane do tyłu nad białymi brwiami ciemne włosy ukazywały wyraźną, czarną linię wytatuowanych grotów strzał, jak znaki na ciele żmii.

Torak wpatrywał się w nią zafascynowany i przerażony, podczas gdy Czarownica Żmii przyglądała mu się tak, jak łowca przygląda się zwierzynie łownej.

Jej przepiękna twarz skurczyła się w wyrazie pogardy, ale nic więcej. Nie wiedziała, kim on jest.

–Chudy jak na Białego Lisa – powiedziała. – Nef, rozczarowujesz mnie. Znalazłaś nam chudzielca. – Wsunęła zimne palce pod kurtkę Toraka i uśmiechnęła się. – Co to jest? On ma nóż!

–Nóż? – spytała Czarownica Nietoperza. Nóż, który zrobił mu Fin-Kedinn, ciągle znajdował się w pochwie na szyi Toraka.

Teraz zdjęto mu go i rzucono Nef.

–On ma nóż! – odezwał się kpiąco męski głos, głęboki i niski jak dębowe drewno. Z ciemności wyłoniła się olbrzymia postać i zanim Torak zdążył zaprotestować, mężczyzna wykręcił mu ramiona tak silnie, że chłopak wrzasnął z bólu. Znów śmiech. Czuł krople śliny tamtego kłujące go w twarz jak sok świerkowej kory.

–Mam się bać, Seshru? – przekomarzał się mężczyzna. W obszernym ubraniu ze skóry renifera wydawał się olbrzymi, wypełniał całą podziemną komnatę. – Czy on chce zagrozić Czarownikowi Dębu?

Torak wpatrywał się w twarz twardą jak jałowa ziemia, spękana po miesiącach palącego słońca. Broda mężczyzny była splątana niczym gałązki, a włosy przypominały szopę liści: Oczy, które wwiercały się w jego oczy, były koloru intensywnej zieleni młodych pędów.

–Czy on chce nas nastraszyć? – spytał Czarownik Dębu tonem fałszywej

łagodności. Torak czuł się bezradny jak schwytany przez rysia leming.

–Thiazzi, zostaw go – rzuciła Czarownica Nietoperza. – Potrzebny nam jest żywy, a nie na wpół żywy ze strachu!

Czarownica Żmii odrzuciła głowę, wyginając w łuk długą szyję, i zaśmiała się.

–Biedna Nef! Zawsze tak strasznie chce bawić się w mamuszkę!

–Co ty wiesz o matkowaniu? – odgryzła się Nef. Piękne usta Seshru rozciągnęły się w złym uśmiechu.

–Zobaczmy, co nam przyniósł, dobrze? – powiedział Thiazzi, wrywając mu zawiniątko. Wyciągnął z niego małą, jeszcze nie w pełni wyrosniętą białą sowę i potrząsał nią tak długo, aż oczy ptaka ściemniały z przerażenia. Od tej chwili Torak znienawidził Thiazzię, Czarownika Dębu, który uwielbiał męczyć stworzenia słabsze od siebie.

Czarownicy Nietoperza też się to chyba nie podobało. Wyrwała z rąk Czarownika Dębu sowę i wsadziła ją z powrotem do worka.

–To też jest potrzebne żywe – mruknęła. Następnie odwróciła się do Toraka, pokazała mu miskę z brzoźowej kory, stojącą na podłodze, i kazała jeść. Ku swemu zdziwieniu stwierdził, że w misce jest kawałek suszonego końskiego mięsa i kilka orzechów laskowych.

–No, dalej – zachęcała go Seshru z dziwnym, krzywym uśmiechem na ustach. – Jedz. Nie możesz opaść z sił.

Spojrzała kątem oka na Thiazzię i Torak zobaczył, jak wymieniają rozbawione uśmieszki.

Udawał, że je, ale nie mógł niczego przełknąć. Wydawało mu się, że zaledwie przed chwilą był na śniegu z Renn. Teraz znajdował się w trzewiach ziemi z Pożeraczami Dusz.

Pożeracze Dusz. Nawiedzali go w snach. Zabili mu ojca. Teraz w końcu byli tutaj - tajemniczy, niepoznawalni, ale znacznie bardziej realni, niż sobie wyobrażał.

Thiazzi, Czarownik Dębu, leżał rozciągnięty na skale i żuł stwardniały sok świerkowej kory, na brodę spadały mu złociste okruszki. Mógł być jak każdy po prostu łowcą w lesie, on jednak dla przyjemności torturował i maltretował żywe stworzenia.

Seshru, Czarownica Żmii, przysunęła się i oparła o niego – była szczupła, wiotka, jej opięta tunika ze skóry foki błyszcząca jak księżyc odbity w jeziorze. Torak zatrząsał się z przerażenia, słysząc pustkę w jej śmiechu. Kiedy oblizywała usta, zobaczył mały, spiczasty, czarny język.

Najbardziej zagadkowa była Nef, Czarownica Nietoperza. Jej małe oczka biegały podejrzliwie od Thiazzię do Seshru, i zdawała się tak nie pasować do tamtych dwojga, iż miał wrażenie, że nie pasuje sama do siebie.

Z daleka usłyszeli pohukiwanie sowy. Uśmiech spęłzył z twarzy Seshru. Thiazzi zamarł.

Nef zamruczała coś pod nosem i dotknęła ciemnego futra opiekuna klanu na swym ramieniu. Światło łuczywa przygasło.

Zaskoczony i przerażony Torak zobaczył w głębi jaskini – tam, gdzie przed chwilą

był tylko cień – czwartego Pożeracza Dusz.

–Patrzcie – szepnęła Seshru. – Przyszła Zamaskowana.

–Eostra – powiedział ochryplym głosem Thiazzi. – Czarownica Puchacza. Nef, przytrzymując się małego kamiennego drzewka, wstała, pociągając za sobą Toraka.

Zamaskowana, pomyślał Torak. Przypomnił sobie wyraz cierpienia na twarzy Wędrowca. Najokrutniejsza z okrutnych.

W półmroku ujrzał długą szarą maskę. Maską miała niechętnie, nigdy niemrugające, olbrzymie oczy największego z puchaczy. Głowę postaci pokrywały sowe pióra, wyrastało z nich dwoje zaostrzonych sowych uszu. Wokół pokrytej piórami szaty zwisały długie, poskręcane kosmyki popielatoszarych włosów. Widać było tylko dłonie – paznokcie wygięte w szpony i sine jak u trupa. Skóra miała jasnozielony poblask gnijącego mięsa.

–Przynieś bliżej – powiedział głos, suchy jak pogrzebowa kołatka. Toraka pchnięto bliżej i rzucono na kolana. Poczł odór rozkładu podobny do zapachu cmentarzyska Kruków. Strach zmroził mu serce. Przerażająca sowa maska pochyliła się nad nim powoli. Miał wrażenie, że w umysł wkłada mu się silna i zła, obca wola. Kiedy nie mógł już dłużej tego wytrzymać, maska cofnęła się.

–Jest dobrze – powiedziała. – Zabierzcie to. Roztrzęsiony Torak odetchnął głęboko i cofnął się w kierunku światła. Łuczywa strzelały iskrami. Kiedy ośmielił się spojrzeć raz jeszcze, Eostry, Czarownicy Puchacza, już nie było.

Zmiana w jaskini była jednak niemal namacalna. Czarownik Dębu i Czarownica Żmii poruszali się między kamiennymi drzewami z nową energią. Przynosili kosze i zawiniątka, których zawartości Torak nie był w stanie do końca rozpoznać.

–Chodź, chłopcze – powiedziała Nef. – Pomóż mi nakarmić i napoić zwierzęta ofiarne. Później ty i ja złożymy pierwszą ofiarę.

Lęk, który poczuł wraz z pojawieniem się Eostry, nie wypuszczał Toraka ze swoich szponów, kiedy chłopiec szedł za Czarownicą Nietoperza przez kamienny las. Nef podała mu zawiniątko z sową.

–Włóż je tutaj – powiedziała, wskazując półkę na czymś w rodzaju ołtarza. – I chodź za mną.

Kładąc zawiniątko na wskazanym miejscu, Torak trochę rozluźnił więzy na szyi ptaka, żeby sowa mogła oddychać.

–Nielatwo przychodzi ci krzywdzenie łowcy – warknęła ponuro Nef. – Będziesz musiał robić o wiele gorsze rzeczy, jeżeli chcesz być Pożeraczem Dusz. – Chwyciła łuczywo i ruszyła krętymi tunelami. – Będziesz musiał wziąć na siebie ciężar grzechów wielu ludzi. Potrafisz to zrobić, chłopcze?

–Tak – szepnął Torak niepewnie.

–Przekonamy się – powiedziała Nef. – Powiedz mi, w jakim jesteś wieku. Zamrugał powiekami.

–Trzyście wiosen.

–Trzyście. – Zmarszczyła brwi. – Mój syn miałby teraz pięćnaście, gdyby żył. Przez krótką chwilę Torakowi prawie zrobiło się jej żal.

–Trzynaście wiosen – powtórzyła Czarownica Nietoperza. Patrząc w dal, sięgnęła do mieszka u pasa i wyjęła garść martwych much. Stworzenie klanowe na jej ramieniu, które okazało się nie futrem, ale żywym zwierzęciem, wyciągnęło szyję i pożarło muchy.

–Masz, moja piękna – mruknęła. Spozrzęła, że Torak się jej przygląda. – No, dalej -powiedziała. – Niech cię obwącha.

Dał zwierzątku palec. Zmięte uszy nietoperza poruszyły się delikatnie jak wiosenne liście, a on poczuł przez chwilę ciepło maleńkiego języczka próbującego smaku jego skóry. Dziwny łup, pomyślał. Wyobraził sobie, jak nietoperz idzie po śniegu – szpony wbijają się w białą, zamarznąłą powierzchnię, łokcie robią maleńkie ślady jak odcięte kończyny. Z bólem w sercu pomyślał, że ciekawski Wilk pobiegłby za tym tropem, żeby zobaczyć co to.

–Lubi cię – warknęła Nef. – Dziwne. Nagle ruszyła przed siebie, a Torak musiał podbiegać, żeby nie stracić jej z oczu.

–Jak zmarł twój syn? – spytał.

–Z głodu – powiedziała Nef. – Zwierzyna uciekła z naszej części Lasu. Musieliśmy uczynić coś, co nie spodobało się Duchowi Świata. – Zrobiła jeszcze posępniejszą minę. – Ja też chciałam umrzeć. Próbowałam, ale uratował mnie Czarownik Wilka.

Na wspomnienie swojego ojca Torak omal się nie przewrócił.

–Uratował mi życie – powiedziała z goryczą Nef. – Już nie żyje, a ja nie mogę mu się odwdzięczyć. Wdzięczność to straszna rzecz.

Nagle chwyciła Toraka za rękę i z całej siły przycisnęła je do ściany tunelu.

–Właśnie dlatego tu jesteśmy, chłopcze, żeby wszystko wyprostować i dojść do ładu z Duchem Świata. Szybko! Powiedz mi, co czujesz!

Próbował się wyrwać, ale rękę miał uwięzione pod jej dłońmi. Skąła była w dotyku lepka i ciepła. Czuł, jak gdzieś w środku coś się wije.

–To żyje! – szepnął.

–To, co czujesz, to skóra oddzielająca nasz świat od Tamtego Świata – powiedziała Nef. – Są takie miejsca na świecie, pod ziemią, gdzie skóra robi się cienka.

Torak pomyślał o jaskini, do której raz odważył się wejść. Spytał, czy takie miejsca są też w Lesie.

–Jest takie jedno – powiedziała Nef. – Już próbowaliśmy, ale droga była zamknięta.

–Po co wam to? – spytał. – Czemu tu jesteście? Jej małe oczka rozjarzyły się złośliwym światłem.

–Wiesz dlaczego. Oblizął usta.

–Ale... Muszę się dowiedzieć czegoś więcej, jeżeli mam być Pożeraczem Dusz. Nef zbliżyła się, oblewając go całego gorzko-kwaśnym zapachem nietoperza.

–Najpierw musimy odnaleźć Drzwi – powiedziała. – To miejsce, w którym skóra jest najcieńsza. Następnie musimy wypowiedzieć zaklęcie, które nas ochroni przed tym, co wyjdzie z drugiej strony. W końcu – jej głos zniżył się do szeptu – przy zaćmieniu księżyca musimy otworzyć Drzwi.

Torak przełknął ślinę. Znów usłyszał w wyobraźni głos Wędrowca. Oni chcą otworzyć Drzwi!

–Ale... Dlaczego? – dyszał. – Dlaczego wy...

–Nie zadawaj więcej pytań! – warknęła Nef. – Mamy robotę. Szybkim krokiem ruszyli przed siebie. Po jakimś czasie dotarli do śmierdzącej

komory, gdzie wcześniej Torak usłyszał rosomaka. Zobaczył strumień, którego przedtem nie widział. Woda płynęła wzdłuż obniżenia gruntu i znikła w skalnej szczelinie. Obok stało wiadro z kory brzozonej i wór z wyplatanej kory, pełen suszonych dorszy.

Nef kazała mu wziąć jedno i drugie i ruszać za nią. Podeszła do pierwszego otworu i przesunęła przykrywający go kamień, uchylając go na szerokość dłoni. Wrzuciła tam kawałek dorsza, wyciągnęła małą miskę z kory brzozonej, napełniła ją i wepchnęła do środka.

Torak zobaczył blask oczu. Wydra – to ta, której radosne harce na brzuchu i jazdę po zboczach wydedukował ze śladów w Lesie. Gładkie futro miała zmatowiałe, cofnęła się gwałtownie na ich widok. Już mu nie było żal Nef. Jeżeli była do tego zdolna...

Czarownica Nietoperza zamknęła otwór, zostawiając maleńką szczelinę, żeby zwierzę się nie zadusiło i kolebiąc się z boku na bok, podeszła do następnego. Powoli pokonywali całą drogę przez podziemną komnatę. Torak zobaczył śpiącego, wyczerpanego białego lisa,

zwinętego w kłębek. Orła – pióra potargane, wściekłość bijąca z żółtych oczu. Rysia w tak ciasnej przestrzeni, że nie mógł się obrócić. Plującego furją rosomaka.

W końcu w głębokiej jamie, prawie zupełnie przyciśniętej olbrzymim kamieniem, zobaczył przerażający, olbrzymi kształt białego niedźwiedzia.

–Ten dostaje tylko wodę – powiedziała Nef, chwytając wiadro i wlewając trochę do dziury. – Musimy go głodzić, bo byłby za silny.

Niedźwiedź ryknął potężnie, po czym rzucił się na kamień przyciskający otwór. Kamień się nie poddał. Nawet siła śnieżnego niedźwiedzia nie była w stanie go poruszyć.

–Jak go złapaliście? – spytał Torak. Nef prychnęła.

–Seshru zna się na miksturach nasennych, a siła Thiaziego też się czasami na coś przydaje.

Torak odwrócił się i ocenił długość podziemnej komnaty. Uświadomił sobie, że to, co robią Pożeracze Dusz, to znacznie większe przedsięwzięcie i nie chodzi tu tylko o zagrożenie porwanego Wilka.

–Łowcy – powiedział. – To wszystko łowcy.

–Tak – potwierdziła Czarownica Nietoperza.

–Gdzie jest Wilk? Nef stężała.

–Skąd wiesz, że tu jest wilk? Zastanawiał się pospiesznie, co odpowiedzieć.

–Słyszałem wilka. Słyszałem wycie. Czarownica Nietoperza zawróciła tam, skąd przyszli.

–Wilka przyniosą jutro, w noc zaćmienia księżyca. Kiedy nadejdzie czas. Torak

ukradkiem zerknął przez ramię, żeby zobaczyć, czy istnieje jakiś otwór, przy którym się nie zatrzymywali.

Nef znów czytała w jego myślach.

–Nie ma go tu. Trzymamy go z dala od innych.

–Dlaczego? To pytanie sprawiło, że spojrzała na niego ostro.

–Zadajesz dużo pytań.

–Chcę się uczyć. Nietoperz na ramieniu Nef poruszył się, a ona patrzyła, jak unosi się w powietrze i

ulatuje w ciemność.

–To z powodu Seshru – powiedziała. – Zeszłego lata otrzymała dziwną wiadomość od naszego brata po drugiej stronie Morza. Wilk żyje. Nie wiemy, co to znaczy. Ale dlatego właśnie trzymamy go oddzielnie.

Torak myślał gorączkowo. Czy oni coś wiedzą? Może nie tyle, żeby zaczęli podejrzewać, że potrafi chodzić z duchami, ale coś...

Zorientował się, że Nef przygląda mu się uważnie, zadał więc pytanie, na które już znał odpowiedź.

–Te wszystkie stworzenia... Co z nimi zrobicie?

–Jak myślisz, co z nimi zrobimy?

–Zabijecie je – powiedział. Czarownica Nietoperza skinęła głową.

–Krew dziewięciu łowców jest najstraszniejszą... najsilniejszą ofiarą. Czuł, jak mu dudni w skroniach. Miał wrażenie, że ściany jaskini go przygniatają.

–Mówisz, że chcesz być jednym z nas – powiedziała Nef. – No, to teraz się wszystko zaczyna.

Uniosła łuczywo i Torak spostrzegł, że zrobili pełny okrąg i znów są w pustym kamiennym lesie. Pozostali Pożeracze Dusz gdzieś poszli. Na półce na wysokości jego ramienia leżała bez ruchu sowa w zawiniątku. Czekając na rytuał ofiary.

Zaczęło go zatykać, nie mógł zaczerpnąć tchu.

–Ale... Powiedziałaś, że to jutro. Przy zaćmieniu księżyca.

–Żeby czar w pełni zadziałał, tak. Ale najpierw musimy odnaleźć Drzwi, a żeby to zrobić, musimy się ochronić. Pomoże nam krew sowy. Pomoże nam usłyszeć, co kryje się wewnątrz.

Wetknęła koniec łuczywa w rozpadlinę skalną, sięgnęła po zawiniątko, wyciągnęła z niego ptaka. Trzymając go głową w dół, drugą ręką podała Torakowi nóż.

–Weź – rozkazała. – Utnij jej głowę. Torak wpatrywał się w sowę, a sowa wpatrywała się w niego – nieruchoma, zdrętwiała ze strachu. Nef dźgnęła go trzonkiem noża w pierś.

–Czy jesteś taki słaby, że nie przejdziesz pierwszej próby? Próba... Zrozumiał, że wszystko, co robiła Czarownica Nietoperza, zmierzało właśnie do tego.

Chciała się dowiedzieć, kogo on udaje – kim jest chłopiec z klanu Białego Lisa, który ponad wszystko pragnie przejść do mrocznego świata Pożeraczy Dusz.

–Ale to nie jest zwierzyna łowna – powiedział. – Nie będziemy jej jeść. I nie polujemy. Sowa nie ma szansy na ucieczkę.

Oczy Czarownicy Nietoperza zabłyśły straszliwą pewnością.

–Czasami niewinni muszą cierpieć dla dobra wielu – odparła. Dla dobra?, pomyślał Torak. Co to ma wspólnego z dobrem?

–Weź nóż – powtórzyła Nef.

Nie mógł złapać tchu. Powietrze w jego płucach było gorące i ciężkie od grzechu.

–No już – powiedziała Nef. – Jesteśmy Pożeraczami Dusz. Przemawiamy w imieniu Ducha Świata. Jesteś z nami czy przeciwko nam? Nie ma drogi pośredniej!

Torak wziął nóż. Ukląkł i drugą dłoń położył na ciele sowy. Nigdy nie czuł pod ręką niczego tak miękkiego jak te pióra, tak delikatnego jak kruche kości, które osłaniały to małe, oszalałe ze strachu serce.

Jeżeli odmówi, Nef go zabije. A Pożeracze Dusz otworzą Drzwi i kto wie, jak straszne rzeczy wypuszczą na świat.

I Wilk zginie.

Wziął głęboki oddech i bez słów błagając Ducha Świata o wybaczenie, z całej siły uderzył nożem.

Gotowe – powiedziała Czarownica Nietoperza.-Czy to jest krew? – spytał Czarownik Dębu.

–Oczywiście. Nie wążąc się oddychać, Renn wcisnęła się głębiej do swojej kryjówki – do wilgotnej

szczeliny za kępką małych kamiennych drzewek. Gdzie jest Torak? Co oni z nim zrobili?

Pożeracz Dusz niósł w jednej ręce strzelające iskrami łuczywo, a w drugiej naczynie zrobione z rogu. W pełgającym świetle cień postaci o krzywych nogach był olbrzymi. Nad nią krążyły tysiące nietoperzy.

–Gdzie jest ten chłopak? – spytał Czarownik Dębu, zajmując miejsce przed ołtarzem.

–Ze zwierzętami ofiarnymi – odparła Czarownica Nietoperza. – Był trochę wstrząśnięty. Seshru go pilnuje.

Renn poczuła dreszcz przebiegający po skórze.

–Więc jest wstrząśnięty, tak? – kpił Czarownik Dębu. – Nef, to jest tchórz! Mam nadzieję, że to nie zaszkodzi czarowi!

–Dlaczego miałyby zaszkodzić, Thiazzi? – odparła Czarownica Nietoperza. – Sam do nas przyszedł, sam więc zaproponował siebie na ofiarę. Odegra swoją rolę. Posłuży naszemu celowi.

Jakiemu celowi? – zastanawiała się Renn. Jak zrozumiała, przebranie Toraka go nie zdradziło, nie wiedzieli, kim jest, nie wiedzieli, że potrafi chodzić z duchami. Ale do czego był im potrzebny?

Zastanawiała się również, ilu Pożeraczy Dusz jest w tych jaskiniach. Było ich siedmiu, kiedy się zebrali, teraz dwaj nie żyli, a to oznaczało pięciu, ale chłopiec z klanu Białego Lisa mówił tylko o czterech. Gdzie był ten piąty?

Po chwili o tym zapomniała. Czarownica Nietoperza wsadziła łuczywo w szczelinę skalną, zanurzyła palec w rogowym naczyniu i narysowała sobie nad brwią ciemną kreskę. To samo nakreśliła na czole Czarownika Dębu.

–Krew sowy – śpiewała – żeby jak najlepiej słyszeć.

–I chronić nas przed tymi, którzy szaleją wewnątrz – zaintonował Czarownik Dębu. Renn wstrzymała oddech. Krew sowy... Więc zabili ją tak, jak mówił chłopiec z klanu

Białego Lisa. Ale po co? Zabijanie łowców budzi wściekłość Ducha Świata i przynosi nieszczęście temu, który zabija, oraz jego klanowi.

Oparła dłoń o małe, kamienne drzewko i zdziwiła się, czując niezdrowe ciepło. Od razu wiedziała, co to jest. Serce Tamtego Świata.

By chronić nas przed złością tych, którzy są w środku... Czy mieli na myśli demony? Demony z Tamtego Świata?

Żałowała, że od razu nie poszła za Torakiem! Ale chodziła tam i z powrotem po śniegu, była na niego wściekła, klóciła się sama ze sobą. Wreszcie postanowiła ukryć łuk i zebrać się na odwagę. Jaskinia połknęła przecież Toraka.

Wtedy właśnie usłyszała echo męskich kroków. Ledwie zdążyła wśliznąć się do środka, gdy wyłonił się z ciemności, olbrzymi jak tur; twarz zasłaniały mu splątane włosy i broda. Na wierzchach dłoni widać było wyraźnie tatuaż klanu Dębu. Zapach soku świerkowej kory unosił się nad nim jak mgła nad Lasem.

Z lękiem w oczach patrzyła, jak podpira ramieniem kamień pięć razy większy od niej samej i zamyka nim wejście do jaskini, jakby to była wiklinowa kotara. Byli zamknięci w środku. Nie miała wyjścia, musiała iść za nim krętymi tunelami; bała się podejść za blisko, ale co gorsza, bała się też zabłądzić w ciemności.

W końcu dotarli do tego kamiennego lasu. Renn czuła wokół obecność przyglądających się im z półmroku, czyhających postaci. Miała wrażenie, że nawet kapanie wody skrywa jakąś tajemnicę. Najgorsze ze wszystkiego były piski i trzepotanie skrzydeł tysięcy nietoperzy. Czy wiedziały, że ona tu jest? Czy powiedzą Pożeraczom Dusz?

Spomiędzy małych kamiennych drzewek obserwowała Czarownicę Nietoperza wznoszącą pochodnię i dotykającą nią pozostałych pochodni rozstawionych wokół ołtarza. Rozbłysło światło ognia, a po chwili nagle przygasło, jak gdyby w pokorze. Nietoperze umilkły. Powietrze zrobiło się ciężkie od zła.

Renn przygryzała palce.

Trzecia Pożeraczka Dusz siedziała u szczytu ołtarza. W półmroku Renn zauważyła szatę pokrytą piórami, które wydawały się wyrastać z samego kamienia, zauważyła też straszliwy pomarańczowy poblask oczu puchacza.

Spod maski wydobył się przenikający chłodem głos:

–Dusze. Dajcie mi dusze.

Czarownica Nietoperza położyła coś niewielkiego na ołtarzu, a ciemna szata ruszyła, żeby to przykryć. Renn domyśliła się, że Czarownica Nietoperza wypowiedziała jakieś zaklęcie wiążące i złapała dusze sowy w pułapkę z jej własnych piór.

–Wszystko dobrze – powiedział głos zza maski. Renn myślała o duszach sowy uwieczonych może już na zawsze w szponach Czarownicy Puchacza. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek uciekną, z łopotem skrzydeł uniosą się pod niebo, szukając ochrony pod Pierwszym Drzewem...

Z sercem przepelnionym lękiem przyglądała się, jak czarownica kładzie na ołtarzu coś ciemnego i zakrzywionego. Było to krzesiwo Wędrowca – kamienny szpon, który dawno temu wyniósł z jaskini w Lesie.

Teraz Czarownik Dębu sięgnął do woreczka i podniósł mały, czarny kamyczek, błyszczący i gładki jak oko.

–To jest sowa – śpiewał, kładąc go tuż obok krzemienia. – Pierwszy z dziewięciu łowców.

Dziewięciu łowców

This file was created with BookDesigner program
bookdesigner@the-ebook.org
2010-05-12

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/